POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 13-go maja 1944r.* — **Rok VI. Nr. 19**

PAX BRITANNICA

Kwietniowy numer *"Nineteenth Century and After"* przynosi artykuł wstępny Voigt'a pod powyższym tytułem. Voigt zajmuje się sprawą, do kogo winno należeć organizowanie pokoju w Europie powojennej. Z możliwościami: *Pax Germanica*, *Pax Muscovitica* oraz *Pax Americana* świetny publicysta rozprawia się krótko. *Pax Germanica* /pokój niemiecki/ pociąga za sobą tyranię i odrzucana jest powszechnie. *Pax Muscovitica* /pokój moskiewski/ jest z gruntu obcą kontynentowi europejskiemu. Miejsce jej w Eurazji. Rosja, choć częściowo leży w Europie, nie jest w istocie krajem europejskim; tworząc świat zamknięty w sobie jest odmienną cywilizacją. Dlatego *Pax Europea* i *Pax Muscovitica* nie mogą być utożsamiane. Ale, podkreśla Voigt, konieczne będzie ich współistnienie, możliwe tylko przy ścisłym rozgraniczeniu narodowych i imperialnych interesów i przy uwzględnieniu wszystkich specyficznych problemów, przy respektowaniu zagadnień drażliwych. *Pax Americana* /pokój amerykański/, chociaż okazała się doskonała dla Półkuli Zachodniej, wydaje się mniej świetną dla kontynentu europejskiego. W sprawach swego kontynentu, utrzymuje Voigt, Amerykanie przejawiają realizm, który eksportowany, traci na zaletach.

Pax Britannica /pokój brytyjski/ pozostaje do przyjęcia nie tylko ze względu na to, że jest ostatnią możliwością, lecz również ze względu na jej szczególny walor.

O. Keun w niedawno wydanej książce *"Continental Stakes"* stwierdza, że Wielka Brytania jest jedyną nadzieją Europy. W ocenie kontynentu W. Brytania zajmuje stanowisko szczytowe ponieważ: 1/ jest ona jedynym krajem oprócz Francji, który przystąpił do wojny nie bezpośrednio zaatakowany, lecz by dotrzymać przyrzeczenia danego Polsce; 2/ w chwili najcięższej, będąc sama, kontynuowała walkę; 3/ daje stale dowody, że jest demokracją i że uznaje prawo innych do wolności; 4/ jest krajem europejskim, choć nie leży na kontynencie, co daje jej wyjątkową możliwość niestronniczości.

Punkt ostatni domaga się pewnego naświetlenia. Wspomniany czynnik geograficzny ma dwie strony: ujemną i dodatnią; ujemną słabszą, a jest nią dążność W. Brytanii do pewnego oddalania się od kontynentu, pozornie luźny jej związek z resztą Europy i skierowanie zainteresowań do krajów zamorskich — kolonii i dominiów; dodatnią, wynikającą z pozorności czy słabości pierwszego. Bowiem sfera interesów W. Brytanii leży na kontynencie. Niezależność krajów europejskich jest często warunkiem bezpieczeństwa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. I tak: owładnięcie Belgią i Holandią godzi bezpośrednio w samą W. Brytanię, owładnięcie Bałkanami zagraża życiowym arteriom imperium.

Na związanie W. Brytanii z kontynentem wpływają poza tym czynniki innego rodzaju. Jest ona przykładem międzynarodowej demokracji, jest też krajem na wskroś europejskim, nie zagrażającym idei wolnościowej Europy. Jej ekspansja jest ekspansją autorytetu i porozumienia, a nie siły i w fazie końcowej przynosi poszerzenie sfery wolności, a nie jej skurczenie. Rozwój Imperium Brytyjskiego pokazał, że kolonie nie muszą być trzymane w stanie zależności i że niezależność może przyjść do nich drogą pokojową.

Kontynent pragnie *Pax Britannica*, przynosi ona bowiem pokój i tolerancję, przenikanie niezrównanej brytyjskiej cywilizacji społecznej, brak fanatyzmu ideologicznego i ambicji ekspansji zaborczej, zachowanie narodowej suwerenności. Kontynent jest nie tylko fizycznie wyczerpany walką; jest on również zmęczony walką doktryn i ideologii. I tu wyłania się moment inny: coraz wyraźniejsze bankructwo idei faszyzmu, narodowego socjalizmu i komunizmu i widoki na to, iż do przyszłości należeć będzie doskonalenie ideału demokratycznego.

Stan rzeczy wytworzony przez *Pax Britannica*, ramy organizacyjne, które W. Brytania zainspiruje i którym udzieli doświadczonego kierownictwa, stworzą najdogodniejsze warunki dla rozwoju i doskonalenia demokracji.

Pax Britannica jest tak osobliwa, tak jedyna w swoim rodzaju, tak różna od innych rodzajów czy możliwości pokoju, który chciałyby zorganizować inne mocarstwa, iż szukamy odpowiedzi na pytanie co wpłynęło na jej swoistość.

Wgląd historyczny w sprawy mające wpływ na wytworzenie zorganizowanych sił zbrojnych, które utrzymują *Pax Britannica*, może być bardzo pomocny. Zasadnicze znaczenie miały dwa momenty; specyficzne odnoszenie się społeczeństwa do wojska oraz charakter brytyjski.

Narodowa wrogość /n.b. użyty tu termin "wrogość" bynajmniej nie jest zbyt silny/ w stosunku do wszelkich sił zbrojnych datuje się w Anglii od połowy XVII-go w. W historii *"Model Army"* stworzonej w r. 1645, widzimy wszystkie cechy charakteryzujące *Pax Britannica* oraz odnoszenie się Anglików do wojska. Wojsko ówczesne, według świadectwa Sir Charles Firth'a propagowało idee demokratyczne i szerzyło hasła religijnej wolności. Poza czterema konstytucjami przez siebie stworzonymi, *"Model Army"* pozostawiła głęboką niechęć do wszelkiej stałej armii i obawę przed rządami wojskowymi. Znamienne było zachowanie żołnierzy po rozwiązaniu wspomnianej armii. Przyjęli ten fakt ze spokojem. "Ugięli się pod ciężarem własnej niepopularności". Oficerowie i szeregowi stali się zwyczajnymi obywatelami.

Historia powtarza się po pokoju ryświckim, po którym nastąpiło nowe rozwiązanie armii. W ciągu trzech lat, do chwili utworzenia nowej, byli wojskowi okazywali nadzwyczajną cierpliwość. W końcu odwołano ich na wojnę. Maszerowali do portów załadowania, śpiewając "Lillibullero":

Over the hills and over the main
To Flanders, Portugal and Spain;
The Queen commands and we'll obey,
Over the hills and far away.

Armia wielkiego Marlborough dokonywała rzeczy zadziwiających. Jednak z chwilą powrotu do domu przyjęto ją jako plagę narodu. Niechęć do niej była głęboka i powszechna. Zjawisko jest tym znamienniejsze, iż od wojska zależało bezpieczeństwo kraju w stosunkach zewnętrznych oraz spokój wewnątrz.

Pierwsze lata XVIII-go wieku były okresem bezprawia. Londyn był niebezpieczny nawet w dzień. Droga z Piccadilly do Kensington była możliwa do swobodnego ruchu tylko dzięki patrolom Gwardii. Gdy wieszano złoczyńcę tłumy musiały być trzymane przez żołnierzy. Na armię spadły obowiązki policyjne — ścigania złodziei, podpalaczy, szmuglerów, obowiązki, które wykonywała posłusznie, pomimo nadzwyczaj niekorzystnych warunków, nie mając odpowiednich pomieszczeń, pracując w rozbiciu na małe oddziałki i, co najważniejsze, stale wśród ludności zdecydowanie wrogiej. Zobaczymy, iż ów stosunek społeczeństwa do wojska nie pozostał bez następstw.

Armia służyła do utrzymania porządku publicznego do trzeciego dziesiątka lat XIX-go wieku, do chwili, kiedy Duke of Wellington powołał do życia *Metropolitan Police Force*. Krok był ważki, była to bowiem pierwsza próba zorganizowania stałej siły do dyspozycji rządu; fakt, któremu nie towarzyszyły jakiekolwiek środki zmierzające do konstytucyjnego zabezpieczenia swobód obywatelskich. Pomyślne rezultaty próby zawdzięczano jedynie wojsku. Większość pierwotnej policji stanowili dawni żołnierze, którzy przynieśli ze sobą tradycję służenia społeczeństwu oraz tradycję poczucia własnej niższości. Zachowali oni z dawna przyjęte skromne miejsce w państwie. Przeniknięci byli duchem cierpliwości. Nie znali co uczucie pychy. Dlatego, między innymi, dzisiejsza policja brytyjska, od nich się wywodząca, jest tak bardzo cywilizowana.

Zjawisko stałej degradacji wojska w oczach społeczeństwa jest tym bardziej zadziwiające, jeśli się pamięta, iż wojsko poszerzało imperium i czuwało nad jego całością. Triumfalny pokój 1763 uczynił W. Brytanię panią wielkiego imperium. Problem zapewnienia pokoju przez rozbudowę armii stał się wtedy palącym. Slogan Parlamentu był jednak niezmienny: *"Down with the standing Army"* /Precz ze stałym wojskiem/.

W pół wieku później, w r. 1815, nowy pokój powiększył pokaźnie posiadłości imperium, lecz nie zmienił pozycji armii. Żołnierzy zwalniano masowo. Odnoszenie się Parlamentu do oficerów ilustruje przykład następujący: w Londynie nie dopuszczono do utworzenia oficerskiego klubu towarzyskiego, gdyż widziano w tym niebezpieczeństwo konspiracji wojskowej.

Wydaje się, że uczyniono wszystko, aby zniszczyć organizację, od której zależało bezpieczeństwo państwa /n.b. na uwagę zasługuje fakt, iż do połowy w. XIX-go marynarka wojenna nie miała wystarczającego stałego personelu i w razie wojny zależna była od armii i marynarki handlowej; służba morska była od czasów Cromwella jednym z obowiązków armii/.

Zabiegi te doprowadziły do organicznej niepopularności wojska, niepopularności, która uległa zmniejszeniu dopiero w czasie wojny krymskiej w r. 1854, kiedy publiczność doszła do wniosku, iż powodów niepowodzeń na froncie doszukiwać się należy nie w wojsku, lecz w niej samej, w błędach posunięć politycznych. Czarny okres armii brytyjskiej miał się ku końcowi.

W okresie tym zwyciężył brytyjski charakter, który poza nastawieniem społeczeństwa do armii, był najważniejszym czynnikiem, kształtującym oblicze brytyjskiego żołnierza, a przez niego *Pax Britannica*.

Brytyjczyk z zasady łatwo godzi się z losem. Dlatego żołnierz spokojnie przyjął ogólną niechęć, jaką mu okazywano. Nie bolał głośno nad krzywdami, lecz przez cierpliwość i uporczywy wysiłek wpłynął na formowanie się losów państwa, które z konieczności musiało w końcu uznać jego zasługi.

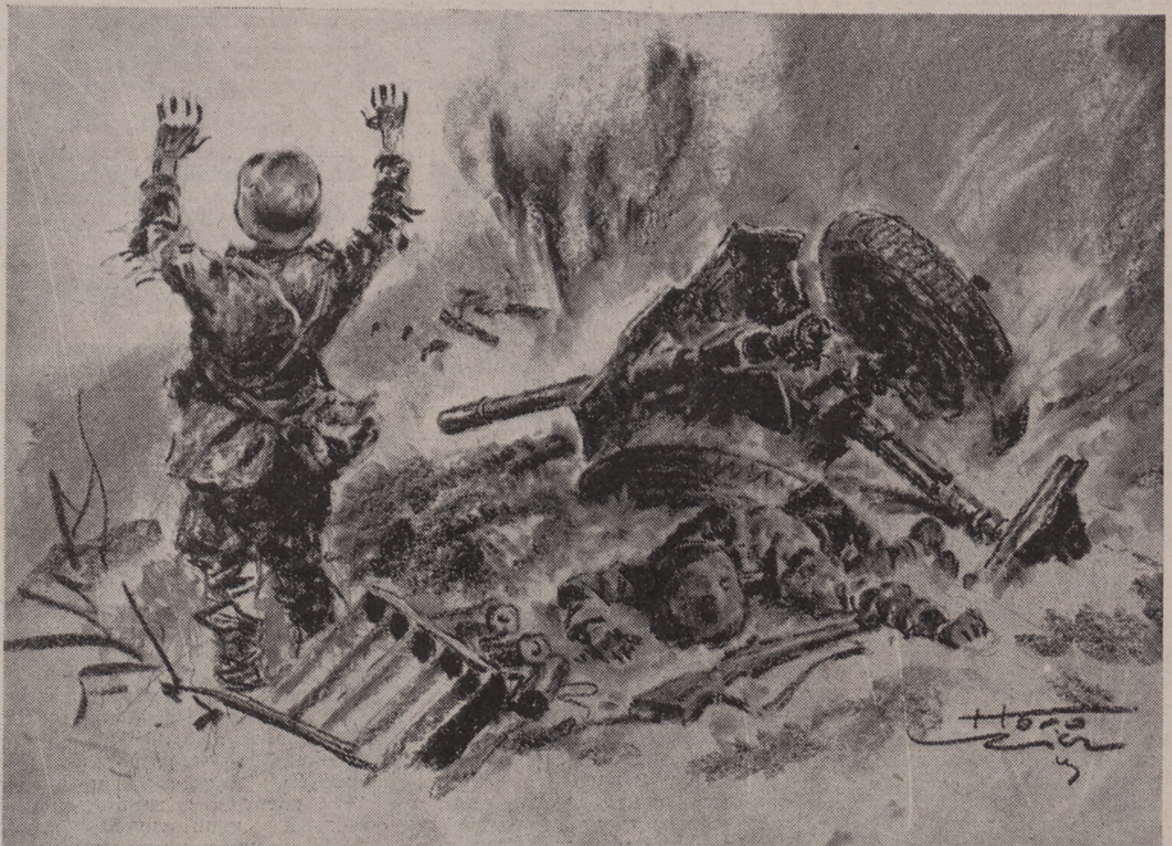
Co jest u niego najbardziej uderzające? Nie należał nigdy do klasy militarnej. Był cierpliwy i skromny, wiedział bowiem, że w domu jest niczym. Od dawna, po wczesnym okresie małej dyscypliny, jest bardzo zdyscyplinowany i ucywilizowany. Gdy Wellington wszedł do Francji stwierdził, iż żołnierz jego współżyje lepiej z ludnością miejscową, niż żołnierz francuski. Pod koniec owej wojny długie kolumny maszerowały przez Francję do północnych portów bez wypadku żażalenia ze strony ludności. Podczas zeszłej wojny żołnierz brytyjski cieszył się doskonałą reputacją. Nie oskarżano go nigdy o zbrodnie wojenne. Otaczała go tradycja uczciwości, wyrozumiałości, niemal łagodności.

Nie potrafi on nienawidzieć wrogów. Podczas wojny w Burmie /1824—5/ jeńcy brytyjscy byli torturowani przez tubylców, lecz po zakończeniu działań wojennych stosunki między niedawnymi przeciwnikami ułożyły się nadzwyczaj przyjaźnie. Ludność miejscowa była podobno niepocieszona, gdy zwycięzcy musieli odpływać do swego kraju. Podobnie rzecz się miała na Nowej Zelandii. Żołnierz brytyjski posiada najwidoczniej dar umiejętnego podejścia do obcych. Wchodzi niejednokrotnie do obcych krain jako zdobywca, rzadko opuszcza je—nie jako przyjaciel.

Jego wpływ na obcych po wielekroć święcił triumfy. Podczas zeszłej wojny alianci posyłali na Bałkany emisariuszy celem zdobycia ludności dla siebie. W. Brytania nie czyniła niczego w tym rodzaju a jednak kraje bałkańskie darzyły ją ufnością. Pamięć o żołnierzu brytyjskim czyniła swoje. Również widoczna jest jego rola w Indiach, gdzie ingerencja wojska w sprawach utrzymania porządku publicznego jest pożądana ze względu na niezrównane przymioty żołnierza, jego niestronniczość, opanowanie i nieuleganie prowokacjom.

Pokój wygrany i utrzymywany przez takiego żołnierza, przyćmiewa swym blaskiem wielkość innych pokojów. Wobec *Pax Britannica* nawet *Pax Romana* jest niepozorna.

WŁADYSŁAW STANKIEWICZ



ARTUR HOROWICZ: Rozbite stanowisko wroga

Szkic sytuacyjny

ZASTÓJ NA FRONCIE WSCHODNIM

Komunikat sowiecki przyznaje się, że na froncie wschodnim poza odcinkiem Sebastopola panuje właściwie spokój. Sam Sebastopol oblęgany jest przez wojska sowieckie, przy czym dowództwo rosyjskie podkreśla, że nie zamierza brać miasta szturmem, co nie musi odpowiadać rzeczywistym i bliskim zamiarom Armii Czerwonej.

Brytyjskie koła wojskowe w komentarzach na łamach prasy niedzielnej z dnia 7-go maja zaznaczają, że na froncie sowieckim czynione sa poważne przygotowania i że strona rosyjska zabezpiecza sobie bardzo starannie linie komunikacyjne.

Wspominaliśmy już, że istnieje możliwość, iż w chwili dojścia armii sowieckiej do pewnych punktów w Rumunii lub Polsce, ruszy inwazja na zachodzie. Przypuszczenie to wyraził kilka dni temu korespondent sztokholmski jednego z pism londyńskich. Zdaniem jego w momencie dotarcia Rosjan do Brześcia nad Bugiem, miałby się rozpocząć atak na Europę. Oczywiście są to dowolne domysły, ale nie jest rzeczą wykluczoną, że porozumienie strategiczne trzech wielkich mocarstw opiera się nie na takiej czy innej dacie, ale na pewnym układzie sił na froncie wschodnim i uzyskaniu pewnych linii.

Wydaje się również, że strategia niemiecka nastawiona jest w danej chwili na wyczekiwanie ciosu czy serii ciosów, od strony zachodu. Sztokholmski korespondent *"Daily Telegraphu"* w dwóch obszernych depeszach z dnia 3-go i 4-go maja wywodzi, że Niemcy skupili na zachodzie około stu dywizyj i że odbyło się to kosztem stałego drenowania frontu wschodniego. Marszałek Rommel, który nosi tytuł Szefa Działań Anty-inwazyjnych, po inspekcji t.zw. Wału Atlantyckiego, uznał, że liczba 52 dywizyj jest niewystarczająca dla obrony atlantyckiego pobrzeża Europy i zażądał dodatkowych 50. Sprawozdawca *"Daily Telegraphu"* dochodzi do wniosku, że na froncie wschodnim Niemcy utrzymują około 200 dywizyj, przy czym niektóre z tych jednostek są jednostkami szczątkowymi. Ocena ta zgadza się na całej linii z oceną ekspertów neutralnych, którą kilkakrotnie cytowaliśmy tutaj.

Prowincjonalna prasa Niemiec i Austrii zawsze była szczersza w wypowiadaniu pewnych sądów, aniżeli gazety Berlina czy Wiednia. I oto świeżo na łamach jednego z pism wychodzących w Grazu, w Austrii, pojawił się wysoce znamienny artykuł. Artykuł ten stwierdza, że Rzesza Niemiecka została zmuszona do zachowania wielkich rezerw na zachodzie i że naprzód rozprawić się musi z Anglosasami, a potem obróci się przeciwko Rosji. Autor artykułu wyzyskuje tezę, którą Goebbels nie od dzisiaj sączy w umysły społeczeństwa niemieckiego. Minister propagandy Trzeciej Rzeszy, który zwija się obecnie jak w ukropie, tłumaczy ogółowi niemieckiemu, że wojna przeciwko Rosji była konieczna, albowiem Rosja przygotowywała się od dawna do uderzenia na Niemcy. Atak na Rosję — powiada propaganda niemiecka — był wojną prewencyjną, podobnie było — tłumaczy się ziomkom — w roku 1914, kiedy Niemcy cesarskie zaatakowały Rosję, ponieważ zdawały sobie sprawę z ogromu przygotowań rosyjskich.

Było by lekkomyślnością nie doceniać tych manewrów propagandy niemieckiej. Obserwatorzy neutralni, którzy świeżo opuścili Rzeszę, zaznaczają, że ogół niemiecki przychyla się raczej do tej tezy. Berliński korespondent szwajcarskiego pisma *"Tribune de Genève"* w ciekawej depeszy podkreśla fakt, że społeczeństwo niemieckie oczekuje wypadków z dużą dozą spokoju. Na ogół przypuszcza się, że Dowództwo *Wehrmachtu*, czyli *OKW* panuje jeszcze nad sytuacją, chociaż zostało zmuszone do bardzo poważnego przeredagowania swoich planów. Sprawozdawca szwajcarskiego pisma dochodzi do wniosku, że ludność miast niemieckich oswaja się z nalotami, i że wiąże wielkie nadzieje z ewentualną porażką inwazji. Jeżeli jednak inwazja się uda — powiada korespondent szwajcarski — społeczeństwo niemieckie zachwieje się w swoich posadach. Na wszystkie strony w Niemczech — raportuje on — słyszy się głosy, że losy inwazji zadecydują o tym, czy wojna skończy się bardzo szybko czy też przewlecze się o dalsze lata.

Schemat niemiecki jest zatem bardzo prosty, ale w tej właśnie prostocie czają się liczne niebezpieczeństwa. Armia niemiecka gra grę bardzo niebezpieczną i stawia wszystko na jedną kartę. Jest ona zdecydowana sparaliżować akcję aliantów na zachodzie. Niemcy kalkulują, że krwawa lekcja dana aliantom na rozmaitych przyczółkach Europy odstraszy ich od dalszych prób i da Niemcom wolną rękę w podjęciu jakiejś akcji przeciwko Rosji. Nie można się dziwić, że dowództwo alianckie wiedząc o tych kalkulacjach, musi działać niesłychanie starannie i doprowadzić przygotowania do stanu doskonałości.

POGŁOSKI INWAZYJNE

Od pogłosek inwazyjnych roi się dalej w prasie światowej, ale prorocy stracili już nieco na rozpędzie i prorokują z mniejszą pewnością siebie. Pisma szwedzkie, bawiąc się w przepowiednie, podają, że istnieje możliwość ataku sojuszniczego na Norwegię od strony Islandii. Jest rzeczą ciekawą, że Niemcy w ostatnich czasach poważnie wzmocnili pogotowie w Danii, a szczególnie na Jutlandii, co by dowodziło, że obawiają się ataku w tym, stosunkowo słabo bronionym punkcie.

Jeden z wojskowych komentatorów radia niemieckiego Sertorius donosi, że Sojusznicy przygotowali sto tysięcy barek inwazyjnych i że pierwszy atak nie powinien się zbytnio odwlekać. Podobne zdanie wyrażają inni komentatorzy niemieccy. Oczywiście strona sojusznicza zachowuje całkowite milczenie w tych sprawach.

AKCJE LOTNICZE

Obserwatorzy amerykańscy, jak donosi agencja Reutera w dniu 7-ego maja, są zdania, iż w ciągu tego miesiąca spadnie na okupowaną Europę i na Rzeszę 150.000 ton bomb. Część potwornego ładunku zrzucono już na koleje i węzły kolejowe w Rumunii, co by wskazywało, że strategia lotnicza Sojuszników pomaga dalej strategii sowieckiej. Ze swej strony Rosjanie bombardowali Lwów i Sambor.

Działania lotnicze w stosunku do węzłów kolejowych i punktów przeładunkowych we Francji i Belgii trwają nadal a niektóre ataki skierowane były poza tym na takie obiekty jak parki czołgów i warsztaty reperacyjne czołgów, wreszcie RAF dokonał nalotu na jeden z budynków w Hadze, gdzie Niemcy mieli archiwa bardzo doniosłych dokumentów. Akcja ta wykonana została w pełnym porozumieniu z holenderskim ruchem podziemnym.

Goebbels w ostatnim swoim artykule na łamach tygodnika *"Das Reich"* przyznaje otwarcie, że lotnictwo Aliantów góruje nad niemieckim, ale wyraża sąd, że samym lotnictwem nie przeważy się szali wojny.

NA FRONCIE W BIRMIE

Czternasta Armia Brytyjska podjęła działania zaczepne w okolicy Kohimy, na pograniczu Birmy i Indii. Na razie niewiele mamy szczegółów o tych działaniach, ale rzut oka na mapę przekonuje, że wojska japońskie posunęły się dosyć głęboko w sam obszar Indii. Wojska chińskie, które podjęły równocześnie akcję na północny wschód od Kohimy poczyniły podobno pewne postępy. Cała ta ofensywa świadczy tylko, jak powoli postępować będzie wypieranie Japończyków z obszarów zajętych i że wojna na Dalekim Wschodzie jest właściwie dopiero w fazie początkowej.

POWOJENNE PLANY SOWIECKIE

Specjalny korespondent *"Observera"* w doniesieniu z dnia 7-go maja pisze, że Rosja Sowiecka przedstawiła za pośrednictwem swojego ambasadora w Londynie p. Gusiewa, plany zamienienia po wojnie całej armii niemieckiej w olbrzymie bataliony pracy. Według tego projektu wszyscy żołnierze niemieccy zostaliby uznani za jeńców i wcieleni do batalionów pracy, które miałyby za zadanie odbudowywanie zniszczonych krajów Europy. Przypuszczać należy, że bataliony pracy zostałyby skierowane głównie do Rosji.

Korespondent *"Observera"* domyśla się, że mocarstwa anglosaskie nie przyjęły tego planu, albowiem jest on sprzeczny z Konwencją Haską. Kłopot jednak w tym, że Rosja nie jest sygnatariuszem Konwencji Haskiej. Wiele wskazuje na to, że polityka sowiecka jest w tym punkcie bardzo konsekwentna. Przypomnieć należy memoriały profesora Wargi, który domagał się wysłania pięciu czy nawet dziesięciu milionów robotników niemieckich do Rosji. Obecnie Rosjanie przedstawiają ten plan w formie daleko bardziej strawnej, ale myśl pozostaje ta sama.

W tym samym numerze *"Observera"* znajdujemy doniesienie, że Europejska Komisja Doradcza obradująca w Londynie zastanawiać się będzie nad planem rozbrojenia gospodarczego Niemiec. Istnieją dwa projekty: jeden domaga się całkowitej rozbiórki fabryk niemieckich, szczególnie w dziale ciężkiego przemysłu, drugi natomiast wychodzi z założenia, że było by rzeczą nierozsądną pozbawiać Europę doskonałych warsztatów niemieckich, i że powinny one znaleźć się pod pełną kontrolą międzynarodową, ale że nie należy ich ruszać z miejsca. Przyszłość pokaże, który z tych planów zostanie przyjęty.

Londyn, 7-ego maja 1944 r.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

1 maj: W nocy z 30.IV./1.V. polski dywizjon bombowy lekki atakował cele specjalne na terenie nieprzyjaciela. Wszystkie samoloty powróciły. Tej samej nocy polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Z działań tych również wszystkie samoloty powróciły.

—W nocy z 30.IV./1.V. lotnictwo sowieckie bombardowało Brześć nad Bugiem.

—W nocy z 30.IV./1.V. lotnictwo brytyjskie bombardowało niemieckie ośrodki wojskowe w okolicach Paryża.

—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało za dnia ośrodki kolejowe we Francji i Belgii. W działaniach tych wzięło udział 3.300 samolotów.

—W Londynie rozpoczęła się konferencja premierów Imperium Brytyjskiego.

2 maj: W nocy z 1/2 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie samoloty wróciły.

—W nocy z 1/2 lotnictwo sowieckie bombardowało Lwów.

—W nocy z 1/2 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Lyon, Tours, Toulouse.

3 maj: Z okazji święta narodowego Prezydent R.P. i Prezes Rady Ministrów przemawiali przez radio. W Londynie odbyła się akademia, podczas której przemawiał m.in. brytyjski minister pracy Bevin. Mówiąc o rządzie prem. Mikołajczyka członek Rządu W. Brytanii powiedział: "Musiał się on podjąć trudnego zadania. Będąc oddzielonym od Waszego narodu znalazł się wobec zagadnień, które trudno ocenić ludziom, nie będącym w podobnej sytuacji. Zachował wielką godność i poprzez całą wojnę pozostał strażnikiem suwerenności Polski. Jest on uznawany przez rząd Jego Królewskiej Mości jako uprawniony do przemawiania w imieniu narodu polskiego w radach sojuszników. My sami uznaliśmy za absolutną konieczność ustanowić rząd jedności narodowej i tak samo jesteśmy radzi, że Wasz posiada podobny charakter, reprezentując wszystkie klasy i stronnictwa, w tej liczbie polskich chłopów i socjalistów".

—W nocy z 2/3 lotnictwo sowieckie bombardowało, Lwów, Sambor i Stanisławów.

—W nocy z 2/3 lotnictwo brytyjskie bombardowało Leverkusen koło Kolonii.

4 maj: W nocy z 3/4 lotnictwo brytyjskie bombardowało Bukareszt z baz Morza Śródziemnego, z baz w W. Brytanii — magazyny wojskowe w Maily koło Reims.

—W nocy z 3/4 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie samoloty powróciły.

5 maj: Ogłoszono o walkach Armii Krajowej z wojskami niemieckimi w rej. Sztun, w rej. Lubomy-Rymacze oraz w rej. Zamłynie-Władynopol.

—Lotnictwo brytyjskie z baz Morza Śródziemnego bombardowało Budapeszt oraz zniszczyło tamę na rzece Pescara we Włoszech.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało Ploesti.

—Ogłoszono, że wojska sojusznicze przeszły do ofensywy na froncie w rej. Kohimy w Indiach.

6 maj: W nocy z 5/6 lotnictwo brytyjskie z baz Morza Śródziemnego bombardowało Campina w Rumunii, oraz za dnia różne obiekty kolejowe w Rumunii.

—Gandhi ze względów zdrowotnych został zwolniony z internowania.

7 maj: Lotnictwo brytyjskie w nocy z 6/7 bombardowało Bukareszt.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia z baz Morza Śródziemnego ośrodki kolejowe w Rumunii oraz z baz w W. Brytanii — Berlin. W nalocie na Berlin brało udział około 2.000 samolotów.

Wojna na morzu

AMERYKAŃSCY ADMIRAŁOWIE MÓWIĄ . . .

Admirał King — naczelny dowódca Marynarki U.S.A. oświadczył ostatnio, że *"the end is in sight"* i jakkolwiek droga jeszcze długa i trudna, to jednak sytuacja z dniem każdym przechyla się na korzyść Aliantów. Niebezpieczeństwo podwodne zostało opanowane, blokada Niemiec zacieśniona, na Pacyfiku powoli lecz stale bandera amerykańska przybliża się do Japonii . . .

Admirał Nimitz — dowódca sił morskich na Pacyfiku stwierdził zadawalające postępy ofensywy morsko-lotniczej w rejonach wysp Marshalla i Karolińskich. Niezadługo w rękach amerykańskich winny znaleźć się pozycje kluczowe, zagrażające bezpośrednio metropolii japońskiej.

Kontr-admirał Radford — zastępca szefa operacji powietrznych Marynarki oświadczył , że marynarka /tak, właśnie marynarka/ zdolna jest przeprowadzać uderzenia tysiącem i więcej samolotów zaokrętowanych — równocześnie.

Kontr-admirał Ramsey — szef biura aeronautyki Marynarki odkrył, że jesienią 1942 roku zostały Stanom Zjednoczonym już tylko 3 lotniskowce: "Saratoga", "Ranger" i "Enterprise". Sytuacja wydawała się rozpaczliwa, ale w rok później było już kilka nowych lotniskowców floty i ponad 50 pomocniczych. Inne lotniskowce eskortowe przekazano W. Brytanii. Lotnictwo Morskie U.S.A. zestrzeliwało w r. 1942 przeciętnie 185 samolotów japońskich miesięcznie, tracąc 30 własnych. Obecnie zestrzeliwuje około 500 i traci 90. Gdy dojdzie do wielkiej bitwy z flotą japońską straty mogą być po obu stronach wielkie. Ale Ameryka będzie mogła pokryć swoje — Japonia nigdy.

Generał-porucznik Vandergrift z *U.S. Marine Corps* /korpus piechoty morskiej/ oświadczył, że w miarę zbliżania się sił amerykańskich do Japonii, flota japońska zostanie wciągnięta do walki. Będzie ona musiała opuścić swoje bezpieczne kryjówki i zadać kłam kaczkom dziennikarskim o jej niezdolności do boju. Zdaniem generała, dziennikarze i lekceważący nieprzyjaciela, są gorsi od tych, którzy go przeceniają.

Tu nawiasem możemy dodać, że lekceważenie przeciwnika może być często wynikiem jego własnej sugestii. Wywiad nieprzyjacielski rozsiewał w Polsce różne wiadomości obniżające wartość sił zbrojnych Rzeszy /słaby duch, zły sprzęt, rzekome porażki i t.d./ w celu wywołania fałszywego poczucia bezpieczeństwa, a co za tym idzie—osłabienia czujności i sprawności. Gdy prawda wychodziła na wierzch, wywoływało to zawsze ujemny skutek wśród obrońców.

Kontr-admirał Low — szef sztabu X floty U.S.A. wyraził się, że Niemcom wojna podwodna nie opłaci się już zupełnie. Za każdy zatopiony sojuszniczy statek handlowy — Niemcy płacą co najmniej jednym okrętem podwodnym. Straty sojuszników w konwojach nie przekraczają pół procent tonażu pływającego. Wszelkie nadzieje Hitlera na powstrzymanie operacji inwazyjnych drogą osłabienia potencjału sojuszników przez niszczenie tonażu — zawiodły.

Radio niemieckie z przekąsem podało, że admirałowie amerykańscy za dużo mówią, ale rezultaty są dalekie od ich przewidywań. Kocioł garnkowi przygania. Któż to jak nie Raeder i Doenitz obiecali wygłodzić Anglię i wygrać wojnę okrętami podwodnymi? Przecież jeszcze w końcu ubiegłego roku Doenitz "nie wątpił o zwycięstwie", o spędzeniu sprzymierzonych z powierzchni mórz i twierdził, że "okręt podwodny nie lęka się samolotu więcej niż kret wrony?" . . .

PORÓWNANIE

Ujawniono, że w bitwie pod Anzio uczestniczyły tylko 243 okręty i statki sprzymierzone. Można sobie wyobrazić jak będzie wyglądał desant gdy wyruszy ich 20.000.

Niemcy twierdzą, że są dostatecznie przygotowani i że w dniu inwazji odkryją szereg niespodzianek. Bardzo być może. Ale jednakowo silni wszędzie być nie mogą. Wszystkie zaś twierdze nadbrzeżne nie zastąpią im marynarki, której już w granicach wielkiej strategii nie posiadają. Nie darmo właśnie Moltke twierdził, że forteca na brzegu nie zastąpi floty.

Niemcy daliby dziś wiele, żeby mieć *Hochseeflotte* Wilhelma II. Wówczas o inwazji — nawet przy pewnej przewadze liczebnej Aliantów —w dzisiejszym sensie tego słowa nie było by mowy. Przynajmniej tak długo, jak bandera niemiecka powiewałaby na morzach . . .

Ale i mała marynarka potrafi nieraz działać skutecznie. Dowodem tego obrona wybrzeży Francji przez lekkie jednostki niemieckie. Nie są to operacje w wielkim stylu, jednak świadczą, że nawet przy biernej obronie wybrzeża jednostki pływające są konieczne.

Najlepsza zaś obrona własnych brzegów — jak twierdził Lord Fisher — leży zawsze u brzegów przeciwnika.

WALKI NA MORZACH

W trakcie kombinowanej operacji morsko-lotniczej na niemiecką bazę w Bodö /Norwegia/ zatopiono lub unieszkodliwiono 10 statków nieprzyjaciela. Flota straciła 5 samolotów. Zaopatrywanie wojsk niemieckich w Norwegii /i zablokowanego zespołu "Tirpitza" w Alten-fiordzie/, staje się niełatwym zagadnieniem.

Na Morzu Liguryjskim sprzymierzone siły lekkie zatopiły w jednej operacji 4 transportowce, 2 barki desantowe i kanonierkę. Na Morzu Egejskim brytyjskie okręty podwodne zniszczyły 22 statki nieprzyjaciela.

U zachodnich wybrzeży Francji, koło wyspy Ouessant, miały miejsce w końcu kwietnia dwie potyczki. Zespół kontrtorpedowców kanadyjskich, prowadzony przez krążownik "Black Prince", zatopił kontrtorpedowiec niemiecki klasy "Elbing" i uszkodził drugi. W 3 dni później dwa kontrtorpedowce kanadyjskie "Haida" i "Atabascan" /po 1900 ton/ stoczyły ponownie nocny bój z nieprzyjacielem. "Atabascan" został storpedowany i zatonął, przy czym "Haida" uratował 46 a Niemcy 85 ludzi załogi. Kontrtorpedowiec niemiecki także klasy "Elbing" wpędzony został w stanie płonącym na skały, gdzie wykończyło go lotnictwo brytyjskie.

Na uwagę zasługuje wyczyn motorówki z kontrtorpedowca "Haida", która wyratowała 6 marynarzy i o własnych siłach powróciła do brzegów Anglii.

Na Morzu Barentsa zespół morsko-lotniczy marynarki sowieckiej zaatakował konwój niemiecki, zatapiając kilka statków. Na Morzu Czarnym w czasie ewakuacji Krymu, zatopiono dużą ilość mniejszych i większych jednostek transportowych nieprzyjaciela. Charakterystyczne, że dwa pasażerskie motorowce rumuńskie wolały pozostać w Konstantynopolu niż uczestniczyć w operacjach.

PUŁKOWNIK KNOX

Zupełnie nieoczekiwanie zmarł po krótkiej chorobie, w wieku lat 70, minister marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych Knox. Po stracie admirała Dudley Pound — pierwszego lorda morza W. Brytanii — jest to może największa strata jaką ponieśli Sprzymierzeni — nie wskutek działań wojennych.

Knox nie był zawodowym wojskowym, jakkolwiek walczył już w wojnie hiszpańsko-amerykańskiej 1898 roku. Z zawodu był dziennikarzem. W ubiegłej wojnie dosłużył się, stając jako ochotnik, stopnia majora. Pułkownikiem został w myśl amerykańskich zwyczajów — tytularnie. Po wojnie powrócił do dziennikarstwa i polityki, która wysunęła go na tak odpowiedzialne stanowisko. Jego to energii zawdzięczać należy wspaniały rozwój Marynarki Stanów Zjednoczonych i szybkie powetowanie strat poniesionych pod Pearl-Harbour. On był też zwolennikiem budowy wielkiej ilości lotniskowców, choć sprzeciwiali się temu niektórzy admirałowie.

Knox w sprawach morskich nie był bynajmniej laikiem. Znał je doskonale, zarówno z zamiłowania, jak wskutek gruntownych studiów. Współpracujący z nim wyżsi oficerowie marynarki nauczyli się cenić go i szanować, a przede wszystkim podziwiać jego bystrość umysłu, nowoczesność poglądów, łatwość przystosowywania się do okoliczności i talent organizacyjny.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

W listopadzie roku ubiegłego O.R.P. "Krakowiak" wraz z dwoma kontrtorpedowcami brytyjskimi operował w niezwykle trudnych warunkach na wodach Dodekanezu. Był to akurat okres, kiedy natarciu niemieckiemu udało się opanować szereg wysp. Wszystkie trzy okręty częstokroć ostrzeliwały wybrzeże i statki nieprzyjaciela. W czasie tych działań jeden z kontrtorpedowców brytyjskich trafiony został bombą lotniczą. Drugi kontrtorpedowiec wziął go na hol, a "Krakowiak" osłaniał ten powolny zespół przed atakami nieprzyjaciela z morza i powietrza. Wszystkim trzem okrętom udało się powrócić szczęśliwie.

Jakkolwiek mało się o nich mówi ze względu na tajemnicę wojskową, ścigacze polskie są — niemal od początku wojny — czynne na wodach angielskich. Ich wyprawy pod brzegi Francji i Belgii będą kiedyś fascynującym rozdziałem tak zwanej "podjazdowej wojny morskiej", bardzo zbliżonej do działalności lotniczych "intruderów".

Jeden z podoficerów Mar. Woj. wykonał ręcznie model działa baterii im. Laskowskiego na Helu. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że ś.p. kmdr. ppor. inż. Heliodor Laskowski był twórcą polskiej artylerii morskiej w sensie praktycznym i technicznym. Napisał też na ten temat dzieło, które stało u podstaw obrony i wyszkolenia. Zmarł przedwcześnie i jedyna polska bateria obrony wybrzeża, posiadająca prawdziwe działa morskie Bofors 152 m/m — nazwana została jego imieniem. Bateria ta działała bardzo skutecznie w obronie Helu, biorąc na siebie właściwie cały ciężar tej obrony. Udało jej się między innymi ulokować kilka pocisków w jednostkach pływających nieprzyjaciela, szczególnie zaś uszkodzić pancernik "Schlesien", który wycofał się z walki mając spore straty w sprzęcie i personelu.

JULIAN GINSBERT

POŻEGNANIE Z EGIPTEM

Wszystko zaczęło się fatalnie. Polski szofer spóźnił się ze swoją trzytonówką. Angielscy sierżanci i strzelcy patrzyli na niego z niespokojną ciekawością ludzi, którzy muszą cenny skarb /całe kości/ powierzyć w niepewne ręce. Po krótkim wywiadzie ustaliłem, że kierowca był szoferem, a nie pomocnikiem rzeźnika w Polsce. Uspokoiłem więc moją gromadkę, załadowałem ich i bambetle do tyłu, sam siadłem koło kierowcy.

Trzytonówka ścinała wiraże podłych dróg delty Nilu, pędziła po wybojach — wszystko zdawało się proste i łatwe. Nagle sprawy zaczęły iść na lewo, a właściwie na prawo. Zamiast prostej przed sobą szosy, zobaczyłem z przerażeniem, że zjeżdżamy do mulistego kanału nilowego. Odruchowo złapałem kierownicę, rzuciłem wóz w lewo — ukazał się mi przed oczami drugi kanał, potym coś się stało i ciężarówka zgrabnie fiknęła koziołka kładąc się na szosie.

Wygramoliłem się z trudem spod szofera, który mnie zapewniał, że był nim i w Polsce. W budzie trzytonówki panował chaos. Walizki, tłomoki pomieszane były w niezrozumiały sposób z ludzkimi nogami i rękami. Powoli z chaosu wyłaniać się poczęły chwiejne postacie. Szczęśliwie skończyło się wszystko na kilku guzach.

Załadowaliśmy się na inny wóz, około południa zajechaliśmy na molo. O dziwo, z rufy okrętu zwisała polska bandera. Moje biedne chłopaki z Albionu pozieleniały z przerażenia i pytały, czy można wywrócić okręt na "równym morzu". Uspokoiłem ich, że takie rzeczy bywają w czasie wojny, tylko można mieć nadzieję, że nam się to nie przydarzy.

"BATORY"

Przy portrecie króla Stefana na schodach wiodących do baru "Batorego" stoi kilku wąsatych chłopaków, co czyszczenie butów panu pułkownikowi przełożyli nad rzemiosło bardziej wojenne. — "To pewnie właściciel statku — Stachu" — mówi jeden. — "Tak, tak" — odpowiada drugi wąsal — "bogacz musi być, popatrz na jego płaszcz i za 5000 złotych byś takiego nie kupił".

O portrecie króla Stefana krążą na statku legendy. Jego królewskie oblicze — jak mi opowiadał lekarz okrętowy — działało w specjalny sposób na czarnych ze wschodniej Afryki. Ani jeden nie przeszedł, by nie zasalutować lub nie stanąć na baczność. Podobno myśleli, że to król Jerzy w stroju pontyfikalnym.

Trzy wielkie atrakcje na statku, to niedźwiedź, 19 Pestek i jedna blondynka /niektórzy odwracają kolejność atrakcji/.

Niedźwiedź schwytany w górach Persji jest wychowankiem "Kresowej" i pupilem żołnierzy z dolnego pokładu. Cały Boży dzień mocują się z nim i rzeczywiście zwierz tylko dzięki niedźwiedziej sile może to wytrzymać. Gdyśmy wyjechali na morze, biedak, którego przodkowie — górale nigdy podróży wodnych nie odbywali, trzymał się za swą wielką głowę łapami i płakał niedźwiedzim głosem.

Pestki są młode, ładne i noszą spodnie. Najstarsza ma lat 25 a większość 19-cie. Podobno są wykwalifikowanymi telegrafistkami i "odbierają" ponad 100 znaków Morse'a — ja widzę, że na statku bawią się w chowanego /w klasy grać nie mogą, bo zabrakło kredy/ i "odbierają" — uśmiechy, poczynając od siwowłosych pułkowników, na ognistych podchorążych kończąc.

Blondynka siedzi poważnie w barze i czyta. Co czyta nikt nie wie, ale wszyscy woleliby, aby książka była mniej zajmująca. Jest ona /blondynka, nie książka/ jedyną atrakcją suchego baru. Bar bez alkoholu, to tak smutne, jak wyschnięta rzeka na skraju pustyni. Niestety to nie klimat, ale przepisy admiralicji angielskiej zabraniają sprzedaży alkoholów i nawet pyzaty barman z Poznania nie może na to nic poradzić.

Ostatniego dnia przed wyładowaniem stało się coś niezwykłego w historii barowej świata. W szczelnie zatłoczonym barze, gdzie smutek krążył ponad szklankami grenadiny i *lemon-squashu*, jeden człowiek był pijany. Był nim barman. Zwierzał mi się prawie płacząc, że upił się z rozpaczy i z poniżenia. Jego, barmana "Batorego" — chluby polskiej marynarki — zmuszono do podawania *drinków* bezalkoholowych.

Dni włoskie

SŁONECZNA ITALIA

Wieje lodowaty wiatr. W dali widać zaśnieżone szczyty. Po podróży bez wrażeń wojennych po *"mare nostro"*, zajeżdżamy do portu. Nasłuchał się człowiek w Kairze o nędzy miast włoskich i z przyjemnością stwierdza, że ludziom, którzy żyli przez wieki według filozoficznej formułki *"dolce far niente"*, nie powodzi się najgorzej, jeśli się zważy okoliczności wojenne. Noszą buty ze skóry, ubrani są normalnie, a kobiety mają prawdziwe jedwabne pończochy. Sklepy w dużym porcie są raczej puste. Przy sklepach z jarzynami formują się małe ogonki. Jedna w wystaw przykuwa moją uwagę. Leży na niej stos torebek. Patrzę bliżej. To wykałaczki do zębów — dziwny symbol, kończący dwadzieścia lat panowania faszyzmu.

Ruch na ulicach duży, ale przeważnie wojskowy. Taksówki miejskie, to dorożki, zaprzężone w małe koniki, ale są i tramwaje. Co trzeci sklep na głównej ulicy sprzedaje słowniki i krótkie podręczniki włoskiego. Otwieram pierwszy z brzegu i rzuca mi się w oczy wyraz *"astrologus"*. Nie wiem czy to jest wpływ Hitlera we Włoszech, ale naprawdę już czas najwyższy, by zmodyfikować system uczenia języków na świecie i zaczynać od chleba i wody, a nie wiedzy tajemnej.

Jadę w kierunku północnym. Wyżej i wyżej pnie się kręta droga. Śnieg leży grubo, a w niektórych miejscach trzeba się przekopywać przez głębokie zaspy. Do stromych wzgórz — przyrosły wioski. Wyglądają jak z bajek Andersena, pobudowane nad przepaściami, z szarego kamienia z kościółkiem pośrodku. Ich położenie nie da się wytłómaczyć w żaden sposób potrzebą gospodarczą. Nawet osioł się zasapie, wspinając się do nich po krętej dróżce. Planował te wioski strach. Strach człowieka przed człowiekiem. Każda wieś to prawdziwa forteca, która kiedyś musiała się bronić przed rabusiami, a dziś mimo ciężkiej artylerii i *"block busterów"*, stanowi twardy orzech do zgryzienia dla posuwających się wojsk alianckich.

Ślady wojny są coraz liczniejsze. Tu czołg z czarnym krzyżem starannie wypruty ze wszystkich wnętrzności, które mogą się przydać, gdzie indziej przodek działa, kadłub samolotu. Zastanawia mnie dokładność bombardowań koło jednego z lotnisk. Każdy dom trafiony jest w sam środek i przepołowiony — mimo braku części środkowej obie stojące części są zamieszkałe.



Ruch drogowy i ich znakowanie to dzisiaj specjalna wiedza. Nie sposób zbłądzić w Italii. Setki przeróżnych napisów wskazują, gdzie można dostać benzynę czy chleb, względnie pociski do dział. Pociski leżą sobie na polach i zdaje się, że ich nikt nie pilnuje, jednak po rozmiarach bombardowań powietrznych i artyleryjskich przypuszczam, że ktoś się nimi opiekować musi. Jadąc po krętych drogach co kilkaset metrów napis *"Bomb crater"* lub *"Baily Bridge"*. Niemcy są dokładni. Zniszczenie dróg przeprowadzali z zastanawiającą pedanterią. Ani jeden most się nie ostał. Z przykrością człowiek patrzy na resztki wspaniałych łuków, budowanych jeszcze ręką Rzymian, na których saperzy królewscy przerzucili lekką metalową konstrukcję. Trzeba będzie lat ciężkiej pracy, by doprowadzić do stanu poprzedniego te wszystkie zniszczone mosty, wiadukty kolejowe i tunele.

"VI NEAPOLI E POI MORI"

Nie byłem nigdy w Neapolu przed wojną. Widziałem pocztówki. Matka moja spędzała od czasu do czasu zimowe miesiące na Capri. Obraz zachowany w pamięci zgadzał się z rzeczywistością tego pięknego dnia wiosny neapolitańskiej. Wezuwiusz stał jak na obrazkach wypuszczając chmurki dymu, zatoka miała ten sam piękny koloryt jak dawniej. Zdala majaczyła szmaragdowa sylwetka Capri. Coś się jednak zmieniło w samym Neapolu. Domów zburzonych niewiele, ale mimo to wojnę widać wszędzie. Dwumetrowi policjanci amerykańscy w białych hełmach, podobni jak bliźnięta do Gary Coopera, regulują ruch z wspaniałą nonszalacją *cowboy'ów* z Dzikiego Zachodu. Strumienie samochodów osobowych, *jeepów*, i ciężarówek pędzą w zawrotnym tempie przez miasto. Na chodnikach tłok. Co paręset metrów napis *"Typhus"*, nie zdaje się robić na nikim zbytniego wrażenia.

Miasto jest nadal *"out of bounds"* w teorii, w praktyce wygląda jakby 50% ludności stanowili żołnierze wszystkich nacji i kolorów. W mieście działają kluby, restauracje, "Imki" występujące pod różnymi flagami. Jest i opera.

San Carlo, druga opera Włoch /dziś po zniszczeniu La Scali podobno pierwsza/ robi wrażenie imponujące. Tego dnia grano "Rycerskość wieśniaczą" i "Pajace". Nie miałem biletu i czasu, by zobaczyć "Rycerskość", ale za tabliczkę fasowanej czekolady dostałem fotel w czwartym rzędzie na "Pajace". Obsada trzeciorzędna /wszyscy lepsi śpiewacy bądź w Ameryce, bądź w północnych Włoszech/, ale nastrój wielkiego teatru pozostał. Gdy patrzyłem na umundurowanych słuchaczy, cieszyłem się wraz z nimi, że choć godzinę mogłem spędzić na jednej z nielicznych wysp kultury, które ocalały wśród fal potopu dzikiej wojny.

Ceny w Neapolu są niezmiernie wysokie. Za butelkę wody kolońskiej zapłaciłem cztery funty a za obiad *à la carte* 400 lirów /funta/. Zachęcająco brzmiało kiedyś powiedzenie: *"vi Neapoli e poi mori"* /zobaczyć Neapol, a potem umrzeć/, dziś jest ono smutną rzeczywistością: Anzio i Monte Cassino są bardzo blisko. Żołnierz wydaje lekko całe swe zarobki nie myśląc o jutrze, które dla niego może już nie istnieć, a ceny skaczą w górę mimo kontroli wszędobylskiego AMGOTU.

WIZYTA NA FRONCIE

Muszę się usprawiedliwić. Należę do znienawidzonej przez prawdziwych żołnierzy kasty, która po angielsku nazywa się *"chairborne division"* /nie mylić z *"airborne division"*/. Nasze zajęcie, to siedzenie w wygodnych krzesłach i pisanie mądrych rozkazów, uważanych za nonsens przez tych, którzy mają je wykonać. Należący do mej jednostki damski podpułkownik Miss S., po krótkim pobycie w Italii powiedziała w towarzystwie wysokich sztabowców, że "jest zdumiona ilością ludzi, którzy muszą pilnować, by inni dobrze się bili". Od tego czasu oczywiście stała się mocno niepopularna wśród *"red tape'ów"*.

Mimo mego fotelowego przydziału wybrałem się kiedyś do miejsca, które nazywa się "pierwszą linią". Terminy, jak mnie kiedyś uczył prof. Jarra na Uniwersytecie Warszawskim, są zwodnicze. "Pierwsza linia", w tych Tatry przypominających stronach, mało miała wspólnego z okopem pod Anzio.

Dowództwo kryje się w małym miasteczku. Wszyscy oficerowie i żołnierze noszą ze sobą stale broń. Noszą ją jakoś inaczej, niż ja. Początkowo nie mogłem się zorientować na czym to polega. W końcu zrozumiałem. Oni noszą broń, by zabijać Niemców, a nie tylko wykonać przepis regulaminu. Żołnierz wygląda tu też zupełnie inaczej, niż na tyłach. Jest młody, sprężysty i widać, że reaguje szybko na otaczające go zjawiska. *Tommy-gun* przewieszony przez ramię wartownika przed dowództwem jest rzeczywiście gotów do strzału. Okazji jest niemało.

Idziemy na obiad z szefem sztabu brygady. Joseppina powiewa z balkonu ręką i woła *"Bon giorno capitano"*. *Capitano* urodzony w Warszawie odpowiada *"Bon giorno Joseppina"*. Gdy zaczynamy jeść zupę, niemiecka ciężka artyleria zaczyna się wstrzeliwać. Gdzieś niedaleko padają pociski, co nie wydaje się psuć apetytu żadnemu z oficerów w kasynie. Nasza artyleria odpowiada krótką nawałą. Powietrze nad dolinką prują pociski. Trwa to około minuty i powraca spokój. Jesteśmy w połowie drugiego dania.

W komunikatach radiowych piszą: "Na froncie bez zmian — akcja patroli". Warunki w jakich one się odbywają, przypominają wysokogórskie wyprawy alpejskie. Mróz, śnieg, wiatr, niedostępne turnie — to towarzysze tych wypraw. Dla urozmaicenia krajobrazu i dodania elementu wielkiej przygody, *"no mans land"* usiany jest minami a zza każdego wzgórka, z każdej zagubionej w górach chałupki, patrol może się spodziewać śmiercionośnego ognia.

Widzę po obiedzie patrol, który wyrusza na nocną wyprawę. Wszyscy są ubrani w białe kitle, mają *"Tommy-gunny"* i granaty ręczne. Cały patrol zgłosił się ochotniczo. Idą jak na polowanie. Polowanie niebezpieczne. Życzę im *"good hunting"*, jak zwykł był mawiać Monty i — ze wstydem powracam na mój wygodny fotel.

HENRYK GIEŁDZIŃSKI

WIERSZE

WESTCHNIENIE

Polsko, księżycu mój biały,
Który o byt swój walczysz wśród eteru,
Choć już jesteś, księżycowym zwyczajem,
Wzdłuż i wszerz poorany
Setkami kraterów . . .

FATAMORGANY

Tęskny Tyńcu, srebrna skało Kmity,
Druidyczne moje Bielany,
Tatry w błękicie, bystrem dostrzegalne okiem,
I ty, groźny klasztorze o murach bez okien
Na brzegu Wisły!
Krakowskie fatamorgany,
Coście trwały — pobladły — i prysły . . .

POCZTA NA OBCZYŹNIE

Poczta jest dla mnie tylko pobielanym murem:
Nie wysyła listów w moje strony.
Odstąp od niej, serce niecierpliwe,
I cóż ci z takiej martwoty?
Wyjdźmy stąd na świat, w park ludny i złoty,
Gdzie: "Kraj!" i "Kres!" wołają kołujące wrony . . .

TELEGRAF

1

Na drzewnych swoich łodygach,
Wzdłuż Anglii, Szkocji i Walii,
Błyszczą kieliszki telegraficzne
Jak wielkie kwiaty konwalii.

Nie dla mnie wykwitły
Grzędą dookolną;
Tęsknocie mojej służyć im nie wolno . . .

2

Jak do swoich przemówić, gdy orkan powalił
Porcelanowe dzwonki pocztowej konwalii?
Serce rodzinne,
I cóż ty dzisiaj ważysz na wojennej szali?

BIAŁY KWIAT

O tarniny bielańskie, głogi i ożyny,
Storczyki w Lasku Wolskim, cenne i nieliczne,
I wy, piękniejsze od kwiatów,
Kieliszki telegraficzne,
Gdybyście znów dla mnie ożyły!

MARNOŚĆ TĘCZOWA

Własny pokój był mi bańką mydlaną,
Z krzyżem okna po jednej stronie,
Z modrą szafą, złotem krzesłem, po drugiej.
Własny pokój! Ach, ułudna marności
Wszelkiego dobytku i piękna!
Wiatr oto stuknął w okno, i wzdrygnął się pokój,
Schron mój uroczy,
I własność tęczowa pękła,
Mydłem bryzgając mi w oczy.

NA KSIĘŻYCU

Czeremchy, ukwiecone szarym jak pył kwiatem
Kłaniały się ręką do ziemi —
Tuż przy nich, w cieniu topoli,
Pod jej rozmownym liściem,
Siadywali rowerzyści zakurzeni,
Poeci, najmłodsi wieszcze . . .
Rower, w rowie złożony, wirował wciąż jeszcze,
Coraz wolniej, coraz ciszej, srebrzyście . . .
Wioślarze płynęli wzdłuż rzeki —
— Tak bywało na moim Księżycu dalekim.

MARIA PAWLIKOWSKA

KOŚCIUSZKO

Przeżywaliśmy w ostatnich tygodniach 150-tą rocznicę powstania Kościuszki, jego przysięgi Narodowi na krakowskim rynku, jego rozjaśnionego błyskiem kos racławickiego zwycięstwa, insurekcji warszawskiej, insurekcji wileńskiej. Jeszcze przychodzi w maju wspomnienie jasnej karty uniwersału spod Połańca. Jeszcze dojdzie w końcu sierpnia odgłos radosny wielkopolskiego powstania. Poza tym już tylko tragiczne echa nierównej walki z przemocą trzech mocarzy, przypieczętowanej krwią Naczelnika.

Postać jego wyrasta w perspektywie czasu i prób dziejowych narodu. Choć oddalając się o nowe dziesięciolecia, wciąż jest przytomna i bliska.

POCHODZENIE, WYKSZTAŁCENIE, CHARAKTER

Kim był Kościuszko? Syn średnio zamożnego ziemianina, należał formalnie do warsty uprzywilejowanej. Naprawdę od wczesnej młodości torował sobie drogę przez życie wysiłkiem własnym, zasługą i ofiarą. Przywileje warstwy własnej wczas z przekonaniem głębokim przezwyciężył w sobie i potępił. Myślą i sercem wyszedł poza granice swego stanu. Sprawę wyzutych z praw, niewolnych, ukrzywdzonych uczynił własną. Ukochał miliony. W czasie, gdy ogół jeszcze utożsamiał pojęcie narodu ze "stanem rycerskim", dla niego Naród to był ogół mieszkańców naszej ziemi, to była przedewszystkim jego masa ludowa. Tę masę, do gleby przykutą, zamienić chciał w żywą walczącą siłę. Jej spracowanymi rękami wolność wywalczyć. "Walcząc o wolność — oświadczał — wszystkich ziemi jej synów uszczęśliwić pragniemy". Wolność ojczyzny utożsamiał z wolnością i szczęściem ogółu Polaków.

Wychowanie otrzymał na owe czasy staranne. Ze Szkoły Rycerskiej, której był najpierw uczniem, później instruktorem i z oficerskiej służby w korpusie artylerii, prawdziwie wówczas "uczonej broni", wyniósł gruntowne podstawy umiejętności wojskowej. Wyniósł zarazem z lat młodych duże oczytanie i przejęcie się panującymi prądami jego stulecia.

Dziecko wieku Oświecenia, w dobrym i złym zaznał jego wpływów. Od religii odszedł w czas i może na zawsze. Ale surogat religii, jaki wiek ten usiłował wytworzyć: kult cnoty i honoru, nie był dlań pustym dźwiękiem i nie dla mody "cnocie stawiał ołtarze, w cnotliwym uznawał brata". Nie dla mody przejmował się tchnącą z dzieł encyklopedystów i z pism Russa wiarą w wolnego człowieka i w wolne narody. Wraz z współczesnymi nasiąkł pewnym kosmopolityzmem, połączonym jednak z najżarliwszą miłością Ojczyzny. Chciał być obywatelem wolnej, szczęśliwej Polski — był obywatelem świata i to prawo obywatelstwa światowego utrzymał poza grobem.

Miał zainteresowania wielostronne, jak jego współcześni i nieco dyletantyzmu, jak oni. Nie wynika stąd, jak sądziło wielu, by jego wiedza fachowa nie była gruntowna. Przeciwnie, z jego pism wynika, że żadne z ówczesnych zagadnień nauki sztuki wojennej nie było mu obce, a z jego służb i czynów — że opanował znakomicie rzemiosło. Jeśli miał pociąg do malarstwa, to jego rysunki wojskowe cechuje jednak pedantyczna sumienność i dokładność. Można urodzić się na przewódcę. Na to, by być fortyfikatorem — trzeba umieć.

DOŚWIADCZENIA AMERYKAŃSKIE I FRANCUSKIE

Dramatyczne przejścia osobiste dwukrotnie wygnały go z kraju, rzucały nim o bruk paryski, przyczyniły się do wielkiej jego przygody amerykańskiej. Ale nie po to popłynął na drugą półkulę, by szukać przygód. Szedł tam, porwany dochodzącymi stamtąd hasłami. Sprawę wolności Amerykanów uczynił własną. Do jednego z amerykańskich towarzyszy broni pisał po odbytej wojnie te słowa: "Jakże szczęśliwi się czujemy ze świadomości, że czyny nasze poczęły się z zasady słuszności, z przekonania, że sprawa sama jest dobra, z pobudki, że dobro stąd wyniknie dla rodzaju ludzkiego".

Poznał w Ameryce siły zbrojne improwizowane, od ówczesnych europejskich różne zupełnie, złożone z ludzi świadomych za co się biją. Bliżsi mu byli wśród nich demokratyczni "jankesi" z Północy, od rycerskiego ziemiaństwa Stanów południowych. Bliższym stał się Jefferson od Washingtona. Był u narodzin największej demokracji świata. Lecz pojęciami i uczuciem wyprzedzał samych jej twórców i bojowników. Myślał i czuł, jakby był współczesnym o osiemdziesiąt lat późniejszych przemian i heroicznych wysiłków Lincolna. Nie godziły się w jego poczuciu wolność i prawa białego człowieka z niewolnictwem murzynów. Manifestował swoje współczucie dla ich losu. Zostawił na dwa stulecia wdzięczne wśród nich wspomnienie.*

Wrócił do Polski ze stopniem generała, ze sławą, z orderem *Cincinnata*, ale zwłaszcza z umocnioną wiarą w wielką, powszechną sprawę wolności narodów i praw człowieka. Przez kilka lat nie znajdował miejsca w szczupłym wojsku Rzeczypospolitej. Siedział w ojczystych Siechnowiczach, dusząc się w atmosferze folwarczno-pańszczyźnianej.



Portret Tadeusza Kościuszki, pendzla Józefa Grassi'ego /obecnie w Ambasadzie Rzeczypospolitej w Waszyngtonie/

Reformy wojskowe Sejmu Czteroletniego otwarły mu pole do służby, Ustawa Majowa, choć daleka od realizacji jego dążeń, wprowadza Polskę na tory postępu społecznego. W jej obronie przed najazdem obcym i zdradą domową walczy Kościuszko w 1792 roku. Legenda opromienia już jego nazwisko. Po przegranej wojnie, w nim widzą Polacy przyszłego wodza w zamierzonej nowej walce. Młoda Republika francuska powołuje go w poczet swych honorowych obywateli. Jest ona w wojnie z wszystkimi niemal potencjami starego europejskiego świata, w walce śmiertelnej z dwoma z rozbiorców Polski — Austrią i Prusami. Jest natchnieniem i nadzieją ujarzmionych narodów. Do niej zwracają się o pomoc wygnani przewódcy polityczni polscy. Posłem jest Kościuszko — przyszły wódz powstania.

---

* O Kościuszce w Ameryce pojawiło się świeżo źródłowe studium: M. Haiman, Kościuszko in the American Revolution /Polish Institute of Arts and Sciences in America/, New York 1943.

Zastaje on Francję rozdartą zajadłą walką domową, zbroczoną krwią bratobójczą, Konwent Narodowy ubezwładniony wewnętrznym rozłamem, zmaganie się sił politycznych przybierające formy zamachów, eksterminacji, egzekucyj i rzezi. Długo historycy polscy starali się jakby wyłączyć Kościuszkę z groźnego Paryża roku 1793, zredukować jego misję do kontaktu z umiarkowanymi ministrami stronnictwa *żyrondystów*.

Rzeczywistość była inna. Obce były Kościuszce metody polityczne gwałtu i terroru, ale bliskim cały świat idei i haseł, o które tam toczyła się walka. Kontakty jego i porozumienia nie wyłączały radykalnych *jakobinów*, zabiegi nie skończyły się z upadkiem *żyrondystów*. Daleko poszedł w układaniu nie tylko planów wojennego współdziałania, lecz także w zobowiązaniach co do przeobrażeń społeczno-politycznych w Polsce wyzwolonej.

Zawiodła go wiara w idealizm polityki Komitetu Ocalenia Publicznego. Za wzniosłymi hasłami walki o wolność ludów, krył się brutalny realizm. Pożądana była francuskim mężom stanu dywersja polska. Obca była im natomiast wszelka polityka, któraby mogła utrudnić Francji odrębny pokój z Prusami lub sprowokować Rosję do czynnego udziału w wojnie. Układy o pomoc dla Polski ciągnęły się bez wyniku. Gdy Polska powstała w roku 1794, zdana była na siły własne. Nawet w toku walki nie doznała wsparcia. Krytykowano za to nie dość demokratyczny charakter jej rewolucji, zbytnie pobłażanie dla króla i arystokratów, niezupełną prawomyślność jakobińską.

DOKTRYNA WOJSKA LUDOWEGO

Z rewolucyjnej Francji wyniósł Kościuszko nowe doświadczenia, mające posłużyć w walce o wyzwolenie Polski. Widział urzeczywistnienie powszechnej powinności wojennej obywateli w szeregach gwardii narodowej, olbrzymiego rezerwuaru, zasilającego z kolei armie Republiki. Po raz pierwszy w dziejach Europy w tym stopniu wyzyskany został do walki potencjał wojenny narodu. Widział Kościuszko, jak Francja rozmiarami swego wysiłku opiera się zwycięsko początkowej przewadze mocarstw skoalizowanych. Widział znów improwizowane wojska, w których patriotyzm i zapał zastępowały zwykłą dyscyplinę, długie wyszkolenie, właściwą tamtym czasom mechaniczną tresurę żołnierza. Widział uzbrojoną w piki gwardię narodową. Dowiedział się o nowych metodach walki: masowym zastosowaniu luźnych szyków tyralierskich i uderzeniach kolumnami na bagnety, wspieranych ogniem działowym. Doświadczenia te skojarzył z amerykańskimi. Dojrzała jego doktryna powstania.

Wiedział, że może liczyć co najwyżej na połowę tego wojska, jakim rozporządzała Polska w ostatniej, przegranej wojnie, że zebranie tego wojska w toku walki będzie zadaniem trudnym do osiągnięcia. W podniesienie go do liczby stu tysięcy nie wierzył. Ówczesne wojsko regularne, szkolone na pruską modłę, wymagało długiej tresury. Wierzył natomiast w możność stworzenia masy trzystu tysięcy uzbrojonego ludu.

Już dawniej potężne umysły Staszica i Kołłątaja torowały drogę przekonaniu o niezwalczonej sile narodu, w którym każdy człowiek stanie do walki z tą świadomością, że bije się o własną swoją wolność i swoje ludzkie prawa. Kościuszce przypadło w udziale wprowadzenie tej wielkiej idei w życie.

Przełamywać musiał niezmierne wewnętrzne przeszkody. Posuwać się krok za krokiem. Robić wyłomy kolejne w ustroju poddańczo-pańszczyźnianym. Nie tylko jednak pchnął potężnie naprzód sprawę wyzwolenia chłopa w świadomości narodu, lecz także rozniecił w masach chłopskich wiarę w lepsze jutro w lepszej Ojczyźnie, związane z jej wyzwoleniem. I wiara ta, triumfująca pod Racławicami, czyniąca go bożyszczem chłopów-kosynierów, szerzyła się do odległych ziem Rzeczypospolitej. Długo potem nawet chłop białoruski śpiewał pieśni o Kościuszce.

Nie było karabinów na uzbrojenie mas powoływanych pod broń. Palnej broni starczyło zaledwie dla regularnego wojska i doborowych batalionów strzeleckich. Przewidywano uzbrojenie w piki, jak we Francji. Ale pikę u nas zastąpiła kosa.

W przewidywaniach Kościuszki miały masy kosynierów nacierać kolumnami przy wsparciu ognia działowego, osłonięte tyralierą strzelecką; uderzać nagle i pędem, przełamując linie przeciwnika.

Pierwsza próba, racławicka, dała druzgocący wynik. W dalszych bitwach nie jeden raz uderzenia kosynierów uwieńczone bywały powodzeniem. Taktyka wojsk kościuszkowskich wywołała duże zaniepokojenie u przeciwników. Ciągnąc przeciw Polsce, Suworow przystosowywał taktykę własną do tych nowych, niebezpiecznych zjawisk.

Wydobył Kościuszko z narodu sto pięćdziesiąt tysięcy walczących — więcej niż kiedykolwiek przedtem wystawiła ich Polska. W walce z głównymi siłami Rosji i Prus przez przeszło pół roku niezwalczony, do ostatka, do tragicznego dnia Maciejowic, nie utracił wiary w zwycięstwo.

WODZOSTWO DUCHOWE

Broczącego krwią, półżywego podjęli kozacy z pobojowiska. Przyszły lata niewoli. Przyszła ciężka chwila wyzwolenia, okupionego złożoną carowi przysięgą wierności. Wyjazd do Ameryki, do ziemi wolnych ludzi. Tam odżył duchowo.

Stamtąd, z misją poufną od demokratycznego obozu Jeffersona wyjechał do Francji. A wiedział już na pewno, że we Włoszech stoi pod bronią żołnierz polski, legiony Dąbrowskiego. Może wiedział, że tam śpiewają: " . . . Kościuszkę Bóg pozwoli".

Był w naszej nauce historycznej pogląd, jakoby Kościuszko nie godził się z legionowym dziełem Dąbrowskiego. W rzeczywistości był on moralnym wodzem wszystkich formacyj legionowych w następnych latach. Chciał widzieć w legionach zawiązek przyszłego wojska polskiego, gdy "losy do Ojczyzny wrócić pozwolą". Wskazywał żołnierzom, że ich będzie udziałem "zanieść dar wolności Ojczyźnie i udział światła współziomkom".

Domagał się dla nich nauki, by móc w potrzebie zrobić z nich oficerów zmartwychwstałej narodowej siły zbrojnej. Chciał by ich wychowywano w duchu zasad republikańskich, demokratycznych, braterstwa wolnych narodów.

Związany duchowo z Francją republikańską, przyjął zamach stanu Bonapartego jako cios zadany sprawie wolności. W stosunku do Pierwszego Konsula a później cesarza, nie ukrywał niechęci, nieufności, moralnego potępienia. Wtedy to uznał całą epopeję legionów za pomyłkę. Wtedy to w pamiętnej broszurze "Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość" dyktował swoje wyznanie wiary: droga do wyzwolenia przez powstanie narodowe, które zwycięży o własnych siłach, jeśli wszystek lud stanie do walki. Tu, w przekonaniach Kościuszki, w jego głębokiej odrazie do dyktatury wojskowej, leżała główna przyczyna jego tragicznej nieobecności w sprawach polskich w dobie napoleońskiej, kiedy przyszedł czas częściowego wyzwolenia w r. 1806 i w roku 1812, gdy sprawa Polski niepodległej i zjednoczonej była bliska urzeczywistnienia.

Upływały lata w ustroniu francuskim, z dala od wielkich wydarzeń. Przyszła katastrofa Napoleona. Przyszły wieści o cesarzu Aleksandrze, szlachetnym zwycięscy, ujmującym się za Francją pokonaną, obiecującym odbudowanie pokonanej Polski. Kościuszko uwierzył na moment. Wielkie swe imię złączył z polityką Aleksandra. W czasie kongresu wiedeńskiego doznał ciężkiego zawodu. Do kraiku, nazwanego Królestwem Polskim, nie chciał jechać. Pobłogosławił tylko jego losom i upomniał się o chłopów i oświatę ludu. To był jego ostatni polityczny testament.

Ale życie jego i jego hasła były karmią duchową dla pokoleń. Przyczyniły się do przetrwania i odrodzenia narodu, do zmartwychwstania Rzeczypospolitej. Przyczyniły Polsce wielkości na stulecia.

Dla nas, żołnierzy, drogim symbolem pozostanie na zawsze ten Najwyższy Naczelnik w krakowskiej sukmanie, manifestujący swe duchowe zespolenie z prostym chłopem kosynierem, ten wódz, walczący wśród swych żołnierzy do ostatka, zawsze zaś kornie przed narodem chylący głowę z niezachwianą weń wiarą.

MARIAN KUKIEL

KONSTYTUCJA I UNIWERSAŁ

I.

Zagadnienie ludu włościańskiego — jak wówczas wyrażano się, czyli kwestia chłopska — jak dzisiaj mówimy, zjawiła się i zjawić się musiała już przy samych zaczątkach odradzania się narodu polskiego w ostatnim dwudziestopięcioleciu XVIII-go wieku.

Nie ukrywajmy bowiem przed sobą samymi prawdy, że położenie chłopa polskiego w Rzeczypospolitej szlacheckiej było bardzo ciężkie, zwłaszcza w dobrach prywatnych, niezależnie od faktu, że położenie to było równie ciężkie n.p. w sąsiednich Niemczech, a zwłaszcza w carskiej Rosji. Chłop polski tego czasu — przy rozmaitych swoich określeniach stanowych — był przypisańcem, "*glebae adscriptus*", to znaczy nie miał prawa opuszczania ziemi czy wsi, przy czym szczególnie w dobrach prywatnych coraz bardziej był obkładany ciężarami pracy pańszczyźnianej, dochodzącej do 5 nawet 6 dni w tygodniu.

Położenie polskiego chłopstwa, jeszcze nie najgorsze w czasach jagiellońskich, pogarszało się stale w czasach wszechwładztwa szlachty XVI-go do XVIII-go wieku, a żadne ostrzeżenia dziejowe nie odnosiły skutku. Wiemy aż nazbyt dobrze, że fatalna dla Rzeczypospolitej działalność naszych "królewiąt" na Ukrainie, którzy w XVII-tym wieku próbowali lepsze położenie chłopa ruskiego obniżyć do poziomu życia chłopa polskiego, nadała siły rozpędowej tragicznemu buntowi Chmielnickiego, buntowi, który zadał tak nieuleczalne ciosy potędze Rzeczypospolitej. Nie wstrząsnęło to jednak sumieniami narodu szlacheckiego, które to zadanie spełnił dopiero pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej, właściwy punkt wyjścia odrodzenia politycznego i moralnego Polaków na szeroką skalę.

Jakkolwiek nie wszyscy pisarze, walczący w wieku XVIII-ym o polityczne reformy i odrodzenie Państwa Polskiego, doceniali w należyty sposób znaczenie poprawy losu ludu wiejskiego, to niemniej pierwsze przebłyski zrozumienia tej sprawy zjawiają się wcześnie, a występują już w formie całkiem jasnego programu u Stanisława Staszica, w jego wiekopomnych "Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego". To historyczne i polityczne zrozumienie dla sprawy chłopskiej i reformy położenia ludu włościańskiego rośnie od tego czasu bez przerwy, by w Lelewelu i "Towarzystwie Demokratycznym" znaleźć swój wyraz niemalże krańcowy, bo ogniskujący przyczyny upadku Państwa Polskiego na sprawie włościańskiej. Niewątpliwie późniejsze debaty skorygowały w dużej mierze wiele uwag Lelewela, chociażby wobec faktu, że inne państwa, w których sytuacja włościaństwa nie była lepsza niż w Polsce, nie doznały tak tragicznego upadku, jak Polska. Bez względu jednak na te zagadnienia i próby egzegezy historycznej — Rzeczpospolita szlachecka zbliżała się ku swemu upadkowi z niesłychanie ciężkim wobec współczesnych i potomnych obciążeniem sprawą faktycznego położenia ludu włościańskiego.

II.

Jasnym promieniem światła i drogowskazem na czas rozbiorów była i pozostała dla nas Konstytucja 3-go Maja, bez względu na to, że nie wszystkie jej idee opanowały większość społeczeństwa szlacheckiego Polski roku 1791. Nic dziwnego więc, że Konstytucja 3-go Maja wśród tych świątłych tonów swoich postanowień, przynosi również pierwszy wyłom i pierwsze odznaki poprawy na tym polu.

Powszechnie zarzuca się Konstytucji 3-go Maja, że właściwie dla chłopów nie dokonała niczego pozytywniejszego, gdyż "zawarowawszy dziedziców przy wszelkich pożytkach od włościan im należących" dała jedynie ogólnikowe i bardzo niejasne postanowienie o wzięciu chłopów "pod opiekę prawa i rządu krajowego". W rozwinięciu tej bardzo ogólnikowej zasady zastrzegła Konstytucja moc prawną dla wszystkich dobrowolnych umów, zawartych między panem a włościaninem, bez wprowadzania jakiś norm wyraźniejszych, czy też bardziej korzystnych dla ówczesnego włościaństwa.

Interpretacja jednak tej zasady o "opiece prawa" — tak jak to przyjmował najwybitniejszy obrońca postanowień Konstytucji prof. O. Balcer, prowadzi po raz pierwszy w Polsce do stwierdzenia, że wbrew dotychczasowemu stanowi, który pana robił nieograniczonym i bezapelacyjnym sędzią wszystkich spraw chłopskich, łącznie ze sporami między wsią a dworem, obecnie Konstytucja Majowa otwierała pole chłopom do dochodzenia swojej krzywdy przed sądem.

Jakkolwiek ta ostatnia interpretacja jest powszechnie przyjęta i wysunięta na czoło, to jednak nie w niej dopatrywałbym się najwybitniejszego znaczenia Konstytucji 3-go Maja dla dziejów sprawy chłopskiej w Polsce. Znaczenie to bowiem — moim zdaniem — polega przede wszystkim na fakcie z jej postanowień wynikającym, że Konstytucja 3-go Maja stała się niejako punktem wyjścia, początkiem marszu chłopów ku lepszej przyszłości, ponieważ wszystkie poprzednie ustawy społeczne Polski szlacheckiej były bezustannym ograniczaniem praw ludu, coraz to gorszym obciążaniem go i uciemiężaniem, które ostatecznie doprowadziło do stanu z końca XVIII-go wieku. Wówczas zaś w dniu 3-go maja 1791 nastąpił zwrot na tej przepastnej linii, drobny i bardzo jeszcze nieśmiały na tle i w zestawieniu z dążeniami rewolucji francuskiej, ale zrozumiały w swej nieśmiałości wobec potrzeby wydania tej ustawy właśnie przez tenże sam stan szlachecki, niesłychanie podówczas czuły na punkcie swych nieograniczonych praw nad chłopem. Była to bowiem zapowiedź wejścia na tym najważniejszym odcinku życia polskiego na nową drogę, która odtąd poprzez wiek cały prowadzić będzie od Polski szlacheckiej do Polski ludowej, Polski ogółu obywateli, w pełni równych pod względem praw i obowiązków.

Na tle więc takiego stwierdzenia Konstytucja 3-go Maja, mimo tak dalece skromnych postanowień w sprawie chłopskiej, pozostaje na tym polu punktem zwrotnym w dziejach naszego narodu, zwrotnym, jako wyznaczenie i rozpoczęcie linii kierunkowej wewnątrz społeczeństwa polskiego ku górze postępu, a nie ku rozpacznym przepaściom reakcji.



Pomnik Tadeusza Kościuszki na Wawelu dłuta Józefa Błotnickiego — zniszczony przez Niemców



Rysunek z tygodnika londyńskiego "Time and Tide" przedstawiający w tle Kościuszkę i Washingtona, oraz współczesnego żołnierza polskiego i żołnierza amerykańskiego na pierwszym planie; motto pod rysunkiem z Lorda Byrona

III.

W czasach Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3-go Maja głównie pod wpływem świątłego umysłu Staszica, znalazły się jednak dopiero zaczątki zrozumienia i dobrej woli w stosunku do sprawy włościaństwa, brakło bowiem jeszcze w pełni zrozumienia dla politycznego znaczenia tej sprawy i konieczności wciągnięcia szerokich mas chłopskich w ideową walkę o całość, wielkość i dobro Rzeczypospolitej.

Jeśli w pierwszych reformach roku 1764, czy nieudanych próbach 1768, nie ma jeszcze miejsca nawet dla pomysłów reform w sprawach włościaństwa, jeśli w Konstytucji 3-go Maja jest dopiero pierwszy krok nieśmiały zapoczątkowania tej drogi, to rok 1794 — a więc zaledwie w trzy lata później — bije już całą fanfarą haseł, czynów i postanowień, stawiających po wiekach ponownie sprawę chłopską wśród naczelnych zadań odbudowania prawdziwie niepodległej Polski.

Bitwa Racławicka z 4-go kwietnia 1794, atak chłopów kosynierów z Rzędowic na baterię rosyjską uwieńczony sukcesem, jest tym wielkim apelem do sumienia narodowego, apelem wołającym o poprawę losu tego ludu z krwi i kości polskiego, a tak pokrzywdzonego pod każdym względem. Sam wódz narodu Naczelnik Kościuszko stroi się w sukmanę chłopską, by tej sukmanie poddaństwa nadać szlachetny charakter obywatela walczącego o Polskę. Kościuszko i jego najbliższi czują potrzebę tego wysiłku, który niestety nie dał się już zrealizować, a mianowicie, że dla zwycięstwa ówczesnej Polski konieczne są gwałtowne, niemal rewolucyjne kroki na odcinku sprawy chłopskiej.

Z tego to ducha i wiary Kościuszki, z tych gorąco patriotycznych i ofiarnych nastrojów jego szlachecko-mieszczańskiego otoczenia, z ducha tych pierwszych zwycięstw wojskowych Polski ludowej, którymi były insurekcja warszawska 17-go kwietnia i wileńska z 23-go kwietnia, rodzi się uniwersał, wydany przez Kościuszkę w obozie pod Połańcem 7-go maja 1794.

Manifest Połaniecki, który niestety został tylko manifestem i tak samo, jak Konstytucja 3-go Maja, podzielił los zbawiennych, ale niewykonanych uchwał — nie był już tylko nieśmiałą próbą wejścia na właściwą drogę, ale zawierał cały szereg realnych, a tak koniecznych i sprawiedliwych postanowień poprawy doli chłopa. Przede wszystkim znosił ten manifest zasadę krytego niewolnictwa, którym była "przynależność chłopa do gleby" i przyznawał włościaninowi Państwa Polskiego wolność osobistą i prawo zmiany miejsca w razie spłaty długów i wykonania zobowiązań. Następnie ograniczał i zmniejszał niejednokrotnie niesłychanie ciężkie obowiązki pańszczyźniane, obniżając robociznę pięcio czy sześciodniową o dwa dni w tygodniu, a cztero, trzy- i dwudniową o jeden dzień. Poza tym przynosił cały szereg zarządzeń w sprawie majątków chłopów, powołanych do służby w wojsku narodowym, a co najważniejsze, wprowadzał zasadę urzędów względnie komisji, które miały zająć się sprawami poszczególnych grup chłopskich.

W ten sposób Manifest Połaniecki, do którego wydania Kościuszko, jako rewolucyjny Naczelnik narodu i państwa, był w pełni powołany, od razu wprowadzał zarządzenia, które na wypadek wejścia w życie musiałyby być natychmiast odczute przez całe szerokie masy chłopskie, jako ulga i to bardzo znaczna w ich dotychczasowym ciężkim położeniu.

Nie manifest jednak, ale dopiero wykonanie mogło było wciągnąć już wówczas na szeroką skalę polski lud włościański do walki o nową lepszą Polskę. Niestety powstanie i rządy Kościuszki były faktem krótkotrwałym, bo zaledwie siedmio-miesięcznym, na wykonanie nie było więc dość czasu, a co smutniejsze nie było ku temu dość chęci, bo ten tak żywo przez Reymonta opisany szlachcic, który zapędził się aż na pole bitwy, by z szeregów powstańczych wyciągać "swego" chłopa, co poszedł się bić za Polskę bez jego pozwolenia — bynajmniej nie był w ówczesnej Polsce wyjątkiem!

IV.

Załamało się powstanie. Państwo polskie rozebrano do końca, do ostatniego strzępa wolnej ziemi, ale duch Konstytucji 3-go Maja i Uniwersału Połanieckiego pozostał.

Walczy o ten duch z reakcją staro-szlachecką przez lat niemal 70 postępowa i demokratyczna myśl polska przede wszystkim przez Towarzystwo Demokratyczne spod znaku Lelewela, a następnie przez szeregi "czerwonych", przygotowujących powstanie 1863 roku. Wiara, a względnie złuda co do stanu stosunków chłopskich na ziemiach polskich spotkała się z najboleśniejszym czy najtragiczniejszym ciosem w pamiętnej rzezi Tarnowskiej, która wywołała aż jęk Ujejskiego w "Z dymem pożarów": "Gdzie jest ten Bóg", gdyż ponad rozbiory i wszystkie klęski żaden fakt nie był dla duszy polskiego narodu ciosem tak ciężkim, jak rok 1846.

Nie załamał nawet jednak ten tragiczny rok tej najsilniejszej podstawy niepodległościowych wierzeń Polaków, jaką stanowiła nadzieja udziału mas chłopskich w walkach o Polskę. Nimi też jest kierowany manifest Rządu Narodowego, wzywający do powstania "wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu", a znoszący pańszczyznę i ogłaszający nie tylko prawo chłopów do uprawianej ziemi, ale przyznający nagrodę w ziemi dla walczących bezrolnych.

Jak daleko więc już jesteśmy — na tej drodze, którą zapoczątkowała Konstytucja 3-go Maja, a którą zaczął wcielać w czyn Manifest Połaniecki Kościuszki! Nie było bowiem siły ani mocy politycznej czy społecznej, obcej lub swojej, którąby w miarę zbliżania się do XX-go wieku mogła powstrzymać i załamać tę linię rozwojową, na którą w kwestii chłopskiej weszła dawna Rzeczpospolita szlachecka u schyłku swego żywota w XVIII-ym wieku. Polska wraz z całą Europą najpierw częściowo pod obcymi rządami, a potem już pod własnym sztandarem odrodzonej Polski weszła pełnymi żaglami na drogę demokracji, na drogę woli obywateli, jako czynnika decydującego. Ci zaś "którzy żywią i bronią", byli zawsze na tych ziemiach polskich tą najliczniejszą, a więc najsilniejszą klasą społeczną, której w miarę postępu już samym prawem liczby musiało przypaść czołowe stanowisko w układzie sił społecznych Polski.

Ten więc "lud włościański" XVIII-go wieku, a chłopstwo polskie wieku XX-go, których Rzeczpospolita szlachecka pozostawiła na samym dnie społecznym, musiała Polska odrodzona XX-go wieku wynieść już na czoło sił państwowych i społecznych.

OLGIERD GÓRKA

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Zbyszek

Wydaje mi się, że po wojnie, najmilszym tematem naszej powieści, naszego teatru i kina będą wielkie sensacje życia bez przygód, wielkie wzruszenia zwyczajnej, unormowanej codzienności. Sztuka jest jakby snem ludzkości, w jej sennych marzeniach znajdują kształt i wyraz głębokie zbiorowe tęsknoty i pragnienia, nieświadome obawy i wyobrażenia o szczęściu. A przecież do niczego nie tęsknimy tak bardzo, jak do możności bycia sobą i u siebie, niczego tak bardzo nie pragniemy, jak rozkoszy mieszkania, zamieszkiwania własnego domu, we własnym mieście, w którym wieczorami błyszczą z okien i na ulicach jasne lampy, w którym ludzie są bliską rodziną i kręgiem krewnych, kołem kolegów i przyjaciół, tłumem znajomych, swoich — w mieście, które jest dzisiaj i będzie jutro; w domu, którego sensem i istotą jest to, że trwa, w świecie stałym, w czasie oswojonym.

Wojna zmieniła rolę teatru, kina i powieści z rolami tego życia, o którym mawialiśmy, nie bez żalu, że jest "codzienne" i "szare". To życie pobiło wszystkie rekordy wyobraźni, wszystkie sensacje awanturniczej literatury, wstrząsających dramatów, podniecających widowisk. Pobiło je, niestety, na naszej własnej skórze. Zwaliło się na nas burzą przygód, porwało nas w wir i młyn zdarzeń, zaparło nam dech szybkością i rozmiarami przemian, rozrzuciło po świecie, przegnało przez kontynenty, granice krajów, tysiące mil, wydobyło z nas uczucia, wzruszenia, myśli, łzy, krzyki, do których nie wiedzieliśmy, żeśmy zdolni.

Ilekroć myślę o tym, jaka będzie, po wojnie, nasza literatura, jakie będą jej tematy, intrygi, zawikłania, jaki będzie nasz teatr, nasze kino — próbuję wyobrazić sobie, jako czytelnika przyszłej powieści, jako widza na widowni w powojennym teatrze, mojego kolegę z polskiego wojska na Środkowym Wschodzie, ułana Karpackiej Brygady, Zbyszka P.

Poznałem go, kiedy z Mersa-Matruh przyjechał na dwudniowy urlop do Aleksandrii. Major M. poradził mi, abym sobie z nim pogadał, bo rzeczywiście "warto posłuchać", co taki szczeniak przeszedł.

Szczeniak był drobny, szczupły, dziecinny, tupał ogromnymi buciorami, dziw, że je mógł udźwignąć, tak chudziutkie kolanka sterczały mu spod szortów. Kiedy usiadł, od razu położył sobie ręce dłońmi na dół pod uda i kiwał się potem na lewo i na prawo, najwidoczniej wywiad go nudził. Oczy mu strzelały na boki, pociągał spiczastym nosem, szczeniacki kosmyk jasnych włosów spadał mu na czoło, wtedy Zbyszek wysuwał lewy kąt dolnej wargi i wpobok nosa dmuchał w górę, bo mu się nie chciało wydostać ręki spod siedzenia. W szczenia-ckim głosie piały koguty, kiedy mi opowiadał wszystko od początku. Właściwie nie opowiadał, trzeba było wyciągać z niego siłą, nudziło go.

—To było tak: Kiedy wojna wybuchła miałem skończone cztery klasy gimnazjalne, właściwie uczyłem się prywatnie w domu a zdawałem w gimnazjum w Drohobyczu. Ojciec —

—Zaraz, poczekaj. A ile masz lat?

—Urodziłem się właśnie 5 września 1924 roku w Pińsku, ale mieszkaliśmy w Drohobyczu. Ojciec —

—Toś miał piętnaście lat, kiedy wybuchła wojna?

—Tak, tylko w Brygadzie podałem, że urodzony w 1922, żeby być starszym, bo siedemnastoletnich już brali bez trudności.

—W jakiej brygadzie?

—We Francji.

—Zaraz. Do Francji jeszcze daleko. Obiecałeś, że będziesz opowiadał od początku?

—No więc, ojciec był majorem, w służbie czynnej. A ja byłem w Przysposobieniu Wojskowym. Tośmy przekroczyli granicę węgierską 19-go września, całą grupą z naszego P.W., pod dowództwem majora Mł . . . Wsadzili nas od razu do wojskowego obozu internowanych w Jolsva. Siedziałem jakiś czas, aż mnie Węgrzy zauważyli, że za młody. Posłali mnie do obozu cywilnego w Vadna. Tam siedziałem dwa miesiące, ażem zwiał. Chciałem znaleźć ojca, byłem pewny, że jest gdzieś na Węgrzech. Więc jeździłem od obozu do obozu.

—Za co?

Zbyszek przeniósł na mnie, spod sufitu, zdumiony wzrok. Pociągnął nosem:

—Iiii — powiedział filozoficznie — kto na kolejach płaci?

Odnalazł wzrokiem dużą, fioletową muchę aleksandryjską, która pod sufitem wznosiła się i opadała w górę i w dół, pionowo, jakby na niewidzialnej gumce, i obserwując ją z uwagą opowiadał dalej:

—Aż odnalazłem ojca w obozie wojskowym w Györ, 6 grudnia. Ojciec strasznie się ucieszył, bo nic nie wiedział, co się ze mną stało. Chciałem zostać z ojcem, ale otworzyli w Balaton Zamardi polskie gimnazjum, więc ojciec wkrótce posłał mnie tam, żebym się uczył. Ale mnie się naturalnie, nie bardzo chciało. Pisałem do ojca, pisałem, aż się zgodził, żebym pojechał do Budapesztu i z Budapesztu do Francji. Major Mł. z naszego P.W. prowadził w Budapeszcie biuro ewakuacyjne i wysłali mnie. Przyjechałem do Francji, przez Jugosławię i Włochy, z końcem lutego, do Modany. Zgłosiłem się do wojska, tam właśnie podałem datę urodzenia 1922. Uwierzyli mi od razu — byłem zdrowy, jak byk. Ale może cię to nudzi? — przerwał skwapliwie, i z nadzieją w głosie, że może mnie nudzi i w takim razie pójdziemy na plażę.

Zapewniłem byka, że mnie nie nudzi, wprost przeciwnie, najbardziej interesujące dopiero się zaczyna. Nadzieja zgasła, byk, męczony jakby wydawaniem lekcji, westchnął.

—Pojechałem do punktu zbornego w Bressuiere, stamtąd do Partheney, do ośrodka zapasowego I Dywizji V. Naprzód byłem w służbie pomocniczej, potem przydzielili mnie do kawalerii. Mieliśmy konie, robiliśmy ćwiczenia, wyszkolili mnie, w kwietniu wyjechaliśmy do strefy przyfrontowej, na wschód od Nancy, do Frenella Grande. Przeszedłem do szwadronu ppanc. Aż poszliśmy na front, koło Charleville, jako osłona 53 dywizji francuskiej, na linii Charleville — Namur. Francuzi ciągle robili inspekcje, dawali nam nominacje, medale. Potem zaczęła się klapa. Cośmy się chcieli bić, to się nam kazali cofać. Cofaliśmy się, aż do Lure. Zostaliśmy otoczeni koło Bellencourt przez zmotoryzowane dywizje niemieckie. I zostaliśmy rozpuszczeni przez Francuzów. Ja, z kolegą, przekradaliśmy się w kierunku Anglii. Już byliśmy pod St. Lisier, kiedy nas, 2-ego lipca, Niemcy złapali do niewoli. Gestapowcy zaczęli nas badać, podaliśmy się z kolegą za Węgrów, cóż kiedy znaleźli przy mnie obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Przez obrazek wsiąkłem.

Zbyszek westchnął, dmuchnął spod nosa na kosmyk włosów i dodał:

—Zresztą nie byliby myśleli, że jestem żołnierz, bo wyglądałem trochę za młodo, a jużeśmy byli z kolegą po cywilnemu, ale —

—Ale co? — spytałem.

—Miałem na ręku bransoletkę złotą z napisem "Belgique" ze sklepu po drodze, t.zn. zastaliśmy opuszczony sklep. Na drugi dzień Niemcy byliby wszystko zmarnowali, nie? Tośmy zabrali — łańcuszki, zegarki, drobiagi, po parę bransoletek . . . na czarną godzinę. Przecież nie mieliśmy grosza. Gestapowcy wybadali, żeśmy żołnierze, posłali nas do Bains les Bains, do obozu jeńców.

—Jak was tam traktowali?

—Zwyczajnie — znęcali się. Traktowali, jak bydło, nie jak żołnierzy. Odebrali mi buty, spodnie, walizeczkę — dali stare szoferskie łachy. Większość tych bransoletek i łańcuszków miałem w walizce i w spodniach, zaszyte, więc to się zmarnowało. Ale zostawili mi palto, a w palcie jeszcze miałem osiem zegarków zaszytych. Od razu odesłali mnie do obozu jeńców pod Szczecinem. Tam byłem hardy, więc —

—Jakto, hardy?

—Stawiałem się trochę — nic takiego. Nie chciałem słuchać za gorliwie. Dali mnie do karnej kompanii. Naturalnie, bili mnie.

Milczeliśmy obaj przez chwilę. Zbyszek patrzał w okno, poszedłem za jego wzrokiem. Ślicznie było na dworze. Wspaniały bulwar aleksandryjski był teraz, o tej porze rozgorzałego upału, pusty, za bulwarem błyszczał złoty piasek plaży, dalej świeciło błękitne, falujące sennie morze.

—Chcesz papierosa? — spytałem Zbyszka.

—Nie palę — powiedział Zbyszek, i wytłómaczył się skwapliwym kogutem — Jakbym chciał, tobym palił. Tylko mi się nie chce. Ale — czy to jeszcze długo potrwa, ten wywiad?

—Albo co? — spytałem — śpieszy ci się?

—Nie . . . — powiedział z męską niedbałością — tylko chciałem na lody pójść.

Zapewniłem go, że doskonale się składa, bo ja też marzę o lodach i zaraz pójdziemy. Zbyszek ożywił się i musiałem go hamować pytaniami, tak szybko zmierzał do końca opowiadania.

—W Szczecinie dali mnie do pracy w wagonie pocztowym, potem na robotę do wieśniaka pod miasto. Byłem u niego tydzień i uciekłem. Zaraz w następnej wsi sprzedałem chłopom kilka zegarków, strasznie mnie zdarli, ale musiałem wziąć, co mi dawali, bo zagrozili, że zaprowadzą mnie na policję. Trudno — dyktowali mi ceny. Tyle, że miałem na pociąg do Berlina. Po niemiecku mówiłem ze szkół, dojechałem bez przeszkód. W Berlinie byłem trzy dni, mieszkałem po "Czerwonych Krzyżach", mówiłem, że jestem robotnikiem belgijskim zwolnionym z pracy. Potem pociągiem pojechałem do Frankfurtu nad Odrą, a z Frankfurtu poszedłem piechotą do Zbąszynia. Ta droga była bardzo ciężka, byłem głodny, musiałem się kryć. Com się chciał gdzie wody napić, czy kupić kawałek chleba, albo trochę mleka, to mnie chłopi chcieli oddać gestapowcom —i znowu musiałem wiać. Raz zamknęli mnie do stodoły i pobiegli po policję, ale uciekłem przez dziurę. Tylko, że słaby byłem. W Zbąszyniu przeszedłem granicę koło cegielni, potem piechotą jeszcze minąłem cztery stacje. Za resztę pieniędzy kupiłem bilet, wsiadłem do pociągu i dojechałem do Warszawy . . .

/W tym skwarnym, wilgotnym upale aleksandryjskim ciarki przeleciały mi po plecach, kiedy zrozumiałem sens tych słów "wsiadłem do pociągu" . . . "dojechałem do Warszawy" . . . Czy to prawda, że był kiedyś świat, w którym można było wsiąść do pociągu i dojechać do Warszawy? Czy wróci nam jeszcze ten świat cudownej bajki? Czy go doczekam?/

—W Warszawie — mówił Zbyszek — byłem drugiego sierpnia. Mieszkałem tydzień na . . . w Polskim Czerwonym Krzyżu, w przytułku dla dzieci, których rodzice zginęli na wojnie. Bo wiesz, po cywilnemu, mogłem śmiało uchodzić za dziecko, szczególnie, kiedy się nie wypinałem. Ale Warszawa strasznie wyglądała. Wiesz — ja nigdy przedtem nie byłem w Warszawie, tak się jakoś złożyło. Teraz chodziłem i miałem straszne wrażenie, straszny żal, że jej nie zdążyłem zobaczyć przedtem — kiedy ją odbudują, to już nie będzie to, już będzie inne miasto, prawda?

Pomyślałem sobie: Tak jest. Miliony dzieci polskich nie zobaczą już nigdy tej Warszawy, która była przedtem, tej Warszawy prawdziwej, naszej. Ale nie powiedziałem tego Zbyszkowi, który ciągnął dalej:

—Zresztą, co ja miałem w Warszawie do roboty? Chciałem się dostać do rodziny — w Pińsku miałem dziadka i babkę, wobec tego pojechałem na Terespol i przeszedłem granicę sowiecką, koło Drohiczyna. Jak? Zwyczajnie, w nocy. Po tamtej stronie, bez zwracania uwagi, jechałem z chłopem, na furze. Do Pińska dostałem się w połowie sierpnia, zastałem dziadka i babkę. Myślałem — głos Zbyszka zapiał dziwnym kogutem — myślałem zresztą, że może mama tam będzie. Może do nich przyjechała z Drohobycza. Ale dziadek i babka klepali okropną biedę. Zostawiłem im połowę swoich zegarków i bransoletek, tyle tylko sprzedałem w Pińsku, żeby mieć na bilet do Drohobycza. Bo mamy nie było w Pińsku. Pożegnałem się, pojechałem koleją na Lwów, we Lwowie byłem parę dni, ze Lwowa dostałem się do Drohobycza. Ale matki nie zastałem. Mówili mi, że podobno wywieziona na Sybir, z młodszym bratem.

/Podczas tej rozmowy zapisywałem wiernie wszystko, co mi mówił Zbyszek. Dziś patrzę na te notatki i widzę, że mi się ręka trzęsła, kiedym pisał ostatnie słowa, i następne, które powiedział: Nie miałem u kogo być . . ./

—Nie miałem u kogo być — opowiadał Zbyszek — przeszedłem z powrotem granicę na zabór niemiecki. Tak — sam, w nocy. Koło Sianek. Przypomniałem sobie, że miałem w Rymanowie ciotkę i szedłem do niej. W Rymanowie już mi się powodziło. Zacząłem tam handlować — słoniną, ubraniem, mydłem.

—Jakże to? — spytałem zdumiony.

—Raz na tydzień jeździłem do Warszawy, do Krakowa, do Łodzi. Porobiłem znajomości z Żydami. Im nie wolno było jeździć, ale na mnie na kolejach nie zwracali Niemcy takiej uwagi — jak chciałem, to zawsze mogłem uchodzić za szczeniaka. Kilo mydła w Rymanowie było 8 złotych, a w Warszawie szło za 22. Słonina tak samo. Za to materiały były w Łodzi po 36 złotych a w Rymanowie po 110. Miałem odbiorców, znajomych Żydów w trzech miejscach, płacili uczciwie. Potem zacząłem też wysyłać paczki pociągami — wybadałem, że w pociągach pośpiesznych paczki nie były kontrolowane — tylko raz ukradli mi Niemcy 30 kilo słoniny. Z początku mieszkałem u ciotki, potem sprzedałem wszystkie pozostałości — łańcuszki i zegarki — za jakie 5000 emisyjnych złotych. Pieniądze ulokowałem w towarze i zarabiałem coraz więcej, po półtora tysiąca miesięcznie. Z handlu zarobiłem tyle, że kupiłem willę w Rymanowie, za 12,000 złotych — niedużą willę, właściwie domek — ale nie mogłem kupić jako małoletni, więc kupiłem na nazwisko ciotki. I już było wszystko w porządku, kiedy — to było tak: Jeden facet w Rymanowie, mój znajomy, miał tajne radio w piwnicy. I powiedział mi kiedyś, że właśnie w Egipcie była defilada wojska polskiego przed Edenem. I coś mnie stuknęło.

—Co mówisz? — spytałem — Powtórz, jakeś powiedział?

—I coś mnie stuknęło — powiedział Zbyszek. — Zdecydowałem się rzucić wszystko. Oddałem wszystko ciotce, tylko ubrałem się świetnie i poszedłem znów na Węgry. Poszedłem na trzeci dzień. Przez Sanok, Baligród, Cisnę, Rostoki, na Zempleno-Orszi. Poszedłem sam bez przewodnika, tylko mi moi znajomi Żydzi pomogli. Szedłem dwa dni — za granicą od razu złapali mnie Madziarzy. Właściwie sam się im oddałem w ręce, bo tam pieniądze emisyjne nic nie były warte, nie miałbym z czego żyć. Trzymali mnie pięć tygodni w Ungwarze, w więzieniu, chcieli ze mnie zrobić komunistę. Potem odstawili mnie do obozu dla internowanych cywilnych Nagyknisza. Stamtąd zaraz uciekłem i pojechałem na gapę do Györ, do obozu ojca.

Tak się złożyło, że dostałem się do ojca znowu szóstego grudnia — równo w rok po pierwszym spotkaniu. Ojciec, rzeczywiście strasznie się ucieszył. Opowiedziałem ojcu wszystko, com robił przez ten rok, gdziem był — we Francji, na froncie, i w niewoli niemieckiej, w Warszawie, po sowieckiej stronie, w Pińsku, w Drohobyczu, znowu po niemieckiej stronie, w Rymanowie, znowu na Węgrzech. Tylkośmy się popłakali z ojcem, kiedy mu o mamie powiedziałem. Nic nie wiedział, myślał, że jest w Drohobyczu, zdrowa, z bratem. Ale ojciec znowu chciał stanowczo, żebym poszedł do gimnazjum, uczyć się. Co miałem robić? Byłem w szkole kilka dni, i nagle dostałem od ojca list. Żegnał się ze mną, napisał, że ucieka z obozu do Jugosławii i przez Jugosławię do wojska. Od razu uciekłem ze szkoły, żeby ojca dogonić. Ale jego złapali Węgrzy i osadzili w więzieniu, w Szkilos i tam został. Wobec tego ja sam zwiałem do Jugosławii, to było w lutym. To już wszystko.

—I co dalej? Dokończ.

—Joj — jęknął udręczony Zbyszek — chodźmy już na te lody. Z Jugosławii już normalnie przez Grecję, Turcję, dojechałem do Palestyny i pierwszego maja wstąpiłem do Karpackiej Brygady. Już?

Zbyszek wydostał ręce spod siedzenia i rozcierał ścierpnięte, białe jak papier dłonie. Tupał głośno ogromnymi buciskami, kiedyśmy szli dorośle, po żołniersku, niedbale — na te lody.

Nazajutrz odjechał do Mersa Matruh. A w dwa tygodnie potem był już z brygadą w Tobruku. Nie słyszałem o nim odtąd. Wyjechałem w parę miesięcy później — do Anglii. Ale chciałbym go jeszcze kiedy zobaczyć. Myślę o nim często, liczę w myśli jego lata. Czy musi się jeszcze "wypinać" aby nie wyglądać, jak dziecko? Chciałbym go zobaczyć po wojnie, kiedy będzie już dwudziestokilkoletnim — dorosłym.

Chciałbym móc wtedy znowu porozmawiać z nim długo i szeroko, dowiedzieć się, jakie były jego koleje i drogi powrotu, czy wróciła z Sybiru jego mama, i młodszy brat, czy wydostał się z więzienia w Sziklos jego ojciec, czy uszli nędzy i biedzie jego babka i dziadek w Pińsku, czy ciotka w Rymanowie nie zmarnowała willi, czy żyją jeszcze jego żydowscy wspólnicy i odbiorcy?

Spytałbym go jeszcze na zakończenie, jakie lubi czytać powieści. O czym? Na jakie programy chodzi najchętniej do kina? Jakie sztuki najbardziej wzruszają go i przejmują w teatrze? O jakich w życiu marzy przygodach, podróżach, groźnych niebezpieczeństwach i wspaniałych nad nimi triumfach? O czym marzy, marząc o szczęściu?

MARIAN HEMAR



Dlaczego biją się tak dobrze?

Powodzenie zakrojonych na olbrzymią skalę natarć "Czerwonej Armii" było niespodzianką nawet dla niektórych autorytetów zachodnio-europejskich, pozostających jeszcze pod wrażeniem marszu Niemców na Moskwę, Leningrad, Krym i Kaukaz. Generał Fuller w książce *"Warfare to-day"* przypisuje powodzenie to trzem czynnikom:

1/ komunikacje, etapy i środki transportowe Niemców na olbrzymich przestrzeniach Rosji wymagały tak wielkich ilości ludzi i sprzętu, że każda mila kwadratowa zdobytego terytorium osłabiała wartość niemieckiej machiny bojowej;

2/ Rosjanie lepiej od Niemców znosili zimę, zarówno indywidualnie, jak i pod względem organizacji zaopatrzenia;

3/ zamarznięty grunt pozwalał pojazdom na kołach poruszać się swobodnie nawet po bezdrożach.

Generał Fuller dodaje, że Niemcom ani razu nie udało się całkowicie oskrzydlić lub zniszczyć większych ugrupowań sowieckich, bo w ostatniej chwili wojskom Hitlera brakło tchu. Formacje pancerne odnosiły pozornie te same powodzenia co we Francji, jednak . . . pożerała je przestrzeń. Inne formacje, szczególnie tyłowe /zaopatrzenie/ nie mogły za nimi nadążyć. W manewrach okrążających powstawały luki, przez które Rosjanie wymykali się. Pierścień niemiecki nigdy nie był dość mocny, by zatrzymać przeciwnika.

Wszystko to prawda. Można by mieć najwyżej zastrzeżenie co do punktu trzeciego, boć przecież zamarznięty grunt pomagał w równym stopniu obu stronom. Ale wyżej wymienione punkty nie wyczerpują tematu. Poza nimi istnieją dalsze przyczyny powodzeń sowieckich, z którymi warto się zaznajomić.

Stara to historia, że żołnierz rosyjski jest — może poza chińskim i japońskim — najbardziej wytrzymały na trudy, niewygody, głód i niebezpieczeństwo. Jest też bardzo wytrzymały duchowo, bo nie rozumuje, nie krytykuje i nie przejawia swej indywidualności w ocenie wydarzeń wojennych. Stąd klęski czy niepowodzenia mają nań mniejszy wpływ, niż na "wyrafinowanych inteligentów" Zachodu. O żołnierzu rosyjskim Bismarck, a po nim Foch wyrazili się, że "trzeba go zabić dwa razy".

Otóż Niemcom w kampaniach 1941 — 43 udało się żołnierza rosyjskiego zabić tylko raz . . . Żołnierz ten zmartwychwstał w oparciu o zaopatrzenie przysłane z Zachodu /kosztem dużych ofiar i wysiłków/, a potem w oparciu już i o własny przemysł wojenny, w porę przeorganizowany i uruchomiony na Uralu. Krytycznym momentem był rok 1942, ale zaopatrzenie, sprzęt i broń przysłana przez Aliantów, pozwoliły przetrzymać kryzys aż do chwili przeniesienia i uruchomienia własnych wytwórni. Zresztą zaopatrzenie z zewnątrz działa w dalszym ciągu.

Ale i te fakty nie wyczerpują tematu, jak nie wyczerpuje go inna wersja — dobrowolnego odwrotu wojsk sowieckich, celem wciągnięcia nieprzyjaciela w głąb kraju. Jakkolwiek już Lenin zalecał stosowanie starych doktryn Clausewitza i Kutuzowa — "jeśli sił do obrony kraju braknie, najlepszym sposobem obrony jest odwrót w głąb" — to jednak trudno przypuszczać, aby "dobrowolnie" oddano Niemcom Kijów, Odessę, Sewastopol, Noworossijsk, Rostów, Charków, pola zbożowe Ukrainy, szyby naftowe na Kaukazie, okręgi przemysłowe Dniepru i Donu, oraz dopuszczono ich na przedmieścia Leningradu i Moskwy. Zasada Clausewitza — zawsze ważna w Rosji, gdzie w przeciwieństwie do innych krajów istnieje przestrzeń strategicznie i operacyjnie prawie nieograniczona — stosowana była tu nie tyle jako plan, ale jako zło konieczne. Zasługą dowództwa sowieckiego było przeprowadzenie narzuconego przez nieprzyjaciela odwrotu bez poważniejszego naruszenia wartości bojowej sił własnych.

Ale defensywa strategiczna nie jest sama w sobie nigdy celem i nie może dać wygranej. Jest ona tylko środkiem, zmierzającym do zyskania czasu i odzyskania inicjatywy. I tu dochodzimy do sedna sprawy.

Inicjatywę operacyjną "Armia Czerwona" odzyskała głównie dzięki szybkiemu i rzeczowemu zaznajomieniu się z taktyką przeciwnika i jego metodami prowadzenia wojny. I tym też tłomaczą się późniejsze zwycięstwa sowieckie na olbrzymim froncie — od Arktyku do Morza Czarnego.

Warto się nad tym zastanowić. Japońskie przysłowie: "uczmy się od naszych wrogów, bo przyjaciele i tak będą z nami", znalazło pełne zastosowanie na froncie wschodnim. Przeciwnie — w państwach zakostniałych w przestarzałej rutynie wojennej, usiłowano stworzyć własne doktryny, z gruntu fałszywe, a polegające na przesłankach, że wróg będzie czynił tylko to, co dla nas jest dogodne. Objawem takiego *"wishful thinking"* był pogląd francuski, że Hitler szturmować będzie frontalnie linię Maginota.

Studiowanie metod walki przeciwnika zakrojone było w Rosji na szeroką skalę jeszcze przed wojną. Świadczą o tym choćby regulaminy i instrukcje bojowe, jak n.p. słynna "Służba Sztabów". Świadczy też sama organizacja — na wskróś nowoczesna i przykładająca wiele wagi do "służby tyłów", służby w wielu zachodnich siłach zbrojnych przedtem lekceważonej. Na obsadę stanowisk w służbie tyłów, będącej rozszerzonym pojęciem naszego IV oddziału sztabu, kładziono specjalny nacisk /w dywizjach pierwszy zastępca szefa sztabu był kierownikiem tej służby/. Dlatego też, mimo katastrofalnych warunków komunikacyjnych oraz długotrwałego odwrotu, służba tyłów "Armii Czerwonej" działała i działa bez zarzutu.

To samo dotyczyło sprzętu i zasobów bojowych. Wśród czołgów sowieckich istniały typy nieznane na Zachodzie. Artyleria — liczna i sprawna, stała na bardzo wysokim poziomie. Zasadę: "artyleria zdobywa, piechota zajmuje" stosowano nie jako frazes, ale jako kryterium współpracy operacyjnej. Zagadnienie współpracy wojsk powietrznych z lądem /artyleria latająca, wojska spadochronowe i t.d./ rozwiązano jeszcze przed wojną.

Jednak głównym czynnikiem powodzenia było aktualne przenikanie zasad taktyki niemieckiej w miarę rozwoju wypadków. Naczelne dowództwo sowieckie wykazało tu niecodzienną szybkość i sprawność w zwalczaniu przeciwnika bądź jego własnymi metodami, bądź przeciwdziałaniem, opartym na gruntownej znajomości tych metod. To co w ciężkich i biurokratycznych machinach sztabowych niektórych państw wymagało mozolnych i długich studiów, dyskusji i prób — wykonywane było w Rosji z błyskawiczną niemal szybkością. Podręczniki wojskowe z roku 1941 zawierały już najnowsze dane, oparte na doświadczeniach wojny anglo-franko-niemieckiej i sowiecko-fińskiej z roku ubiegłego. Instrukcje wydane w r. 1942 zawierały dane o zwalczaniu przeciwnika, oparte na doświadczeniach sprzed dziesięciu tygodni. To wszystko — mimo olbrzymich przestrzeni, braku normalnych komunikacji i trudności drukarskich.

Nie tylko taktykę operacyjną, ale też uzbrojenie i zaopatrzenie przystosowano bardzo szybko do wymogów chwili. I dziś można powiedzieć, Niemcy bici są w Rosji ich własną taktyką i ich własną bronią — tyle że ulepszoną.

Oto odpowiedź na pytanie: "dlaczego Rosjanie tak dobrze się biją?" Poza wytrzymałością i dzielnością żołnierza, poza przestrzenią i klimatem Rosji, istnieje tu czynnik aktualności taktyczno-operacyjnej, polegający na niezwykle szybkim przyswajaniu i przepracowywaniu przez sztaby poszczególnych dowództw nowych metod walki i nowego sprzętu, z pominięciem wszelkiej biurokracji i fałszywego pojęcia hierarchii. Ta zdolność aktualizowania taktyczno-operacyjnego stoi u podstaw obecnych powodzeń sowieckich.

Niepoważne byłoby prorokowanie, jakie będą dalsze losy kampanii na froncie wschodnim. Ale już z dotychczasowego przebiegu wydarzeń wysnuć można szereg ważnych i pożytecznych wniosków. Strategia jest sztuką i nie da się ująć w ramy "sztabowego urzędowania". Tatyka jest nauką, opartą całkowicie na aktualności i zdobyczach nowoczesnej techniki. I — jak Lidell Hart pisze — "nie ma nic bardziej niebezpiecznego, niż konserwatyzm myśli wojennej".

Sądzić, że obecny odwrót niemiecki jest również tylko manewrem, wciągającym Rosjan "w głąb", było by takim samym nonsensem, jak sądzić uprzednio to samo o odwrocie sowieckim na Wołgę i Kaukaz. Na piaskach Libii kilometry terenu mogły nie grać roli, ale nikt nie wyzbywa się dobrowolnie zboża, węgla lub nafty, nie daje sobie przecinać rzadkich a ważnych arterii komunikacyjnych. Nie wyklucza to faktu, że dowództwo niemieckie liczy na rozciągnięcie i rozproszenie sił sowieckich, na skrócenie własnych linii, no i na ewentualne błędy przeciwnika . . .

I jeszcze jedno. Generał Fuller w książce swojej wspomina, że Rosjanie byli mistrzami w pokazywaniu cudzoziemcom tylko tego, co chcieli, a jeszcze lepiej potrafili ukrywać rzeczy, których pokazać nie chcieli. O sile zbrojnej Sowietów wiedziano na Zachodzie znacznie mniej, niż n.p. o niemieckiej, i na ogół nie doceniano jej.

Ta sprawność w zachowaniu tajemnicy wojskowej jest również jedną z "tajemnic powodzenia". I tu Zachód, pojmujący sprawy wojskowe często w sposób parlamentarno-dziennikarski, mógłby się niektórych rzeczy nauczyć.

NEMO

Odezwa biskupów polskich

Biskupi polscy w W. Brytanii wydali odezwę zachęcającą do udziału w dziewięciodniowym nabożeństwie na intencję Polski. Nowenna ta rozpocznie się w piątek 12 maja a skończy się w niedzielę 21 maja, w dzień św. Andrzeja Boboli.

Powiadomiliśmy rodaków naszych w Ameryce — czytamy w odezwie — prosząc by złączyli się z nami we wspólnej modlitwie. Na falach radia poszło wezwanie do Kraju. Otrzymaliśmy zapewnienie brytyjskiej młodzieży katolickiej, że modlić się będzie z nami. W Kościele polskim w Londynie modły te odbywać się będą łącznie z nabożeństwem majowym. Kto w nim uczestniczyć nie może, niech modli się prywatnie.

W niedzielę, 21 *maja o godz.* 10.30 *odprawi się uroczyste nabożeństwo na zakończenie błagalnych 9 dniowych modlitw w Kościele Hiszpańskim w Londynie przy George Str., na które jak najliczniej Polacy niechaj przybędą.*

Skrzynka pocztowa

O WŁAŚCIWY STOSUNEK DO PRZESZŁOŚCI

Szanowny Panie Redaktorze,

Chcę tą drogą podzielić się z Czytelnikami "Polski Walczącej" wrażeniami po przeczytaniu numeru "Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" z 3-go maja b.r. Uderzyła mnie rażąca różnica między stroną 1-ą a 3-ą. Na pierwszej stronie p. M. Sz. w pięknych słowach podniósł znaczenie i symbol naszego święta narodowego. Przeczytanie tych kilkudziesięciu wierszy skreślonych przez p. M. Sz. wlewa otuchę do serc, wzmacnia wiarę we własny naród i związuje nas mocniej z jego przeszłością i historią. Na str. 3-ej p. Karol Zbyszewski zlewając czytelnika zimną wodą, wylewa na tę przeszłość coś innego niż wodę. Domyślamy się, że p. Karol Zbyszewski jest redaktorem znanego nam działu "To i owo". Ten sam styl, ta sama tendencja. Ten i ów tłumaczy mi, że "To i owo" ma zaszczepić nam angielski *sense of humour*. Być może. Osobiście jestem zdania, że nie musimy przejmować wszystkiego od Anglików. Co smakuje Anglikowi, dla Polaka może być czasem niestrawne.

Wolałbym nauczyć się od Anglików poszanowania dla własnej tradycji narodowej, przywiązania do własnych instytucji i zwyczajów oraz tego niezwykle cennego w życiu publicznym umiarkowania w osądzaniu i ganieniu. Znam dość dobrze historię Polski i nie mogę mieć zbyt głębokiego szacunku dla króla Stanisława Augusta. Ale znam ją na tyle, że razi mnie, gdy o królu polskim mówi się: "wgramala się na tron". A powiedzenie: "*zadyndały* dzwony kościelne w całej Warszawie" przykre jest dla mnie, jako Polaka i katolika, i to właśnie przykre w obecnej chwili, gdy dzwonom tym bić nie wolno, gdy je ściągają z dzwonnic, by je przetopić na potrzeby wojny.

Dość nam inni zatruwają i przeszłość i teraźniejszość i zbyt wielu jest takich, którzyby radzi widzieli nasze kościoły zamienione na śpichrze lub wątpliwej wartości muzea. Wolałbym, byśmy więcej szanowali samych siebie i to co jest nasze, polskie. Może przez to nakażemy innym więcej szacunku dla nas.

Są też chwile, gdy więcej potrzebne jest słowo otuchy i podnięty oraz tchnienie wiary i ufności we własne siły, niż z najlepszych pobudek płynące słowa goryczy i wytykanie grzechów przeszłości.

Chcę jednak wierzyć, że słowa p. M. Sz. na 1-szej stronie zagłuszą swym szlachetnym dźwiękiem ten zgrzyt z 3-ej strony.

Konny Artylerzysta

O FUNDUSZACH KOLEŻEŃSKICH

Szanowny Panie Redaktorze,

Inicjatywa pomocy dla naszych najbliższych w Kraju oraz tych wszystkich, których koleje losu rzuciły w różne kierunki wygnania poza Polskę — idzie wieloma drogami. Mamy więc organizacje pomocy na szeroką skalę przy udziale władz rządowych, jak Biuro Opieki M.O.N., P.C.K., lecz mamy również zorganizowaną pomoc ze strony doraźnie utworzonych funduszów koleżeńskich na terenie wojska.

Powstałe z inicjatywy dobrych ludzi i w oparciu o statuty obejmujące mniej lub więcej szerokie grono potrzebujących, fundusze te działają sprawnie, niosąc ulgę wszelkimi możliwymi drogami. Mimo dążności ostatniego zarządzenia Ministra Obrony Narodowej /por. nr. 18 "Polski Walczącej"/, zmierzającej do ujednostajnienia pomocy na terenie wojska i sprowadzenia źródeł pomocy do liczby możliwie najmniejszej, omawiane fundusze koleżeńskiej pomocy zostały nadal utrzymane. Snać doceniona została i jest pochwalana inicjatywa założycieli oraz praca wielu oddanych tej sprawie kolegów, którzy bezimiennie i bezinteresownie niosą ciężar zbierania składek, zakupywania środków i przesyłania w najrozmaitszej formie tak bardzo potrzebującym dziś pomocy członkom ich najbliższego grona.

Mówiąc o akcji tych funduszów, chciałbym parę słów poświęcić Funduszowi oficerów i pracowników cywilnych Wojskowego Instytutu Technicznego, powstałemu z inicjatywy twórcy Instytutu w W. Brytanii, płk. inż. W. Piszę o nim nie dlatego, aby chwalić wyniki akcji pomocy, zresztą te ostatnie nie są mi bliżej znane. Oceni je wreszcie w sposób właściwy w przyszłości szeroki zespół ludzi korzystających z pomocy, choć i dziś już przesyłają oni w listach wyrazy podziękowania i uznania. Pragnę natomiast podzielić się z czytelnikami "Polski Walczącej" interesującą, jak i moim zdaniem pożyteczną myślą, jaka znalazła wyraz w organizacji pomocy tego Funduszu.

Oto Fundusz ten oparty został na ofiarności zespołu ludzi, pracujących w jednej dziedzinie pracy, bez względu na charakter funkcji, stanowisko, czy stosunek do służby wojskowej lub przynależność do korpusu oficerskiego. Nie został on również zamknięty listą pracowników tej instytucji, lecz pozwala na przystąpienie doń wszystkim tym, których charakter pracy wiązał lub wiąże z Wojskowym Instytutem Technicznym.

To samo założenie przyjęto w odniesieniu do akcji pomocy kolegom i ich rodzinom. Szeroko pojęta demokratyzacja w akcji pomocy tworzy najlepszą harmonię zespołu, obejmującego swą pracą obszerną dziedzinę zaopatrzenia wojska /w najszerszym tego słowa znaczeniu/ w sprzęt i środki techniczne.

Hasło tak pojętej wspólnoty, rzucone na glebę naszej emigranckiej ofiarności, pozwala na niesienie pomocy zarówno profesorom, jak i skromnym pracownikom przemysłu, żołnierzom, jak i osobom cywilnym, w miarę jednak posiadanych środków i w miarę, jak wiadomości o pracownikach tej wspólnoty docierają do władz Funduszu.

Rzeczą dziś najważniejszą jest, aby wiadomości te wpływały jak najobficiej, jak również nie mniej cennym jest zrzeszenie się w Funduszu wszystkich tych, których łączy wspólnota jednej dziedziny pracy, a na których pomoc mają prawo liczyć ci, których warunki egzystencji są dziś tak niezmiernie ciężkie.

Trudno naprawdę o lepszą ideę zrzeszenia. Musi ona dać najlepsze wyniki w przyszłości, gdy wypadnie nam stanąć przy wspólnym warsztacie pracy, w spójni wykutej wzajemną troską o los każdego z naszej wspólnoty, gdy wiązać nas będzie wypróbowana pamięć o udzielonej pomocy w tak ciężkich chwilach, samorzutnie i bez przypomnień.

Jan Machowicz

JESZCZE O POLSKICH KOMPANIACH PPANC. WE FRANCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako uczestnikowi kampanii francuskiej właśnie w jednej z kompanii ppanc., przyjemnie mi było przeczytać cenny artykuł p. Grucy, zamieszczony w nr. 13-ym "Polski Walczącej" /"Polskie Kompanie Przeciwpancerne w Kampanii Francuskiej 1940 r."/.

Autor tego artykułu zastrzega się przed złośliwą krytyką, nie szczędzi jednak cierpkich słów organizacji francuskiej, wychwalając równocześnie naszą. Przypatrzmy się więc, jak wyglądało formowanie kompanii ppanc.

Organizacja kompanii w Coëtquidan polegała na ustawieniu żołnierzy i odliczeniu do 154-ech, wydaniu im umundurowania, oraz przekazaniu ich dowódcy kompanii. Skutek tej szybkiej organizacji był taki, że w kompanii odchodzącej na front trafiali się żołnierze nie zupełnie właściwie dobrani. Francuzi zaś, przy swojej może trochę powolnej organizacji, dołożyli wiele staranności. Uzbrojenie i oporządzenie, jakoteż wyposażenie kompanii dawali najlepsze, jakie tylko mieli i można powiedzieć, że dawali wszystkiego tyle, ile się chciało. Gdy chodzi zaś o transport /Coëtquidan — Granville — St. Cyr/, jak i wyżywienie, to można powiedzieć, że były bez zarzutu.

Nie zgadzam się również ze zdaniem autora, że sprzęt należało przewieźć do Coëtquidan i przeprowadzić tam szkolenie. Łatwiej przecież przewieźć ludzi, jak przenieść szkołę wyszkolenia ppanc. wraz ze strzelnicą. Poza tym droga większości /jeżeli nie wszystkich/ kompanii prowadziła przez Paryż, nic więc dziwnego, że uzbrojenie pobrano w St. Cyr.

Jeśli chodzi o inne szczegóły to pragnę sprostować, że bombardowanie St. Cyr było w dniu 3.VI.40 a nie 5.VI.40, jak podano we wspomnianym artykule.

Stanisław Jordanowski

CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości wszystkich ofiarodawców, że z darów na "Paczki od serca" ogłoszonych w nr. 4, 5, 6, 7, 8 i 9 "Polski Walczącej" wysłano 500 paczek; 46 paczek żywnościowych /à 16 sh./, 62 paczki odzieżowe /à £2/, 73 paczki papierosowe à 500 sztuk i 319 paczek papierosowych à 1,000 sztuk. Imienna lista tych, do których paczki wysłano jest do przejrzenia dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej."

Zbiórka na "Dar Narodowy"

3. Maj był od lat dniem zbiórki na "Dar Narodowy".

W tym dniu, jak Polska długa i szeroka do puszek kwestarzy ulicznych wpływały grosze i złote na czytelnie, biblioteki, przedszkola, szkoły i wydawnictwa zasłużonych organizacyj oświatowych: Towarzystwo Czytelni Ludowych na zachodzie Polski, Towarzystwo Szkoły Ludowej i Macierzy Szkolnej w reszcie Kraju.

Cios wymierzony w Rzeczpospolitą zniósł z powierzchni polskiego życia narodowego wszystkie organizacje — a wśród nich również wielkie służebniczki idei powszechnej oświaty i wychowania.

W Polsce podziemnej nie zniknęła jednak pamięć o "T.C.L.", "T.S.L." i Macierzy Szkolnej. Zginęli czołowi przewódcy tych organizacyj, ale mimo najkrwawszych prześladowań wroga, ostał się duch i tradycja społecznej inicjatywy i działalności oświatowej.

Z tym zapewnieniem dotarł niedawno do Londynu emisariusz polskiego ruchu podziemnego. Przeniósł on przez granice i morze życzenie z Kraju, aby w dniu 3. Maja podjąć na obczyźnie, gdziekolwiek los rzucił Polaków, tradycję zbiórki pieniężnej na "Dar Narodowy".

Dając posłuch temu wezwaniu, kierujemy apel do Polaków na całym świecie: uczcijmy tegoroczne Święto Trzeciego Maja wznowieniem zbiórki na "Dar Narodowy".

Maj 1944 roku niechaj będzie wszędzie — gdzie żyją Polacy w rozproszeniu — miesiącem gromadzenia funduszu na rzecz odbudowy polskich organizacyj oświatowych.

PREZYDIUM RADY NARODOWEJ R.P.

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £4 sh.6 d.7½ złożoną przez żołnierzy III dyonu z dobrowolnych ofiar w dniu Święta Narodowego t.j. dnia 3 maja r.b. z przeznaczeniem na "Dar Narodowy 3-go Maja".

Dowódca Dyonu
w/z M.K.

Dla Polaków w Rosji: £10,898

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £4 sh.4 d.1 złożoną przez żołnierzy III. Dyonu z dobrowolnych składek dekadowych w miesiącu kwietniu r.b. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Dowódca Dyonu

* * *

Strz. Szuk. Witold na dzieci polskie w Rosji Sow. składa sh.10 /słownie: dziesięć szyl./

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £4.14.1 /słownie: cztery funty, czternaście szylingów, 1d./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,898.13.1 /słownie: dziesięć tysięcy osiemset dziewięćdziesięt osiem funtów, trzynaście szylingów, 1d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 10 milrejsów brazylijskich.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir,

The girls of this school have adopted a Polish ship — "Lech" — and have in the past been able to send knitted comforts to "our sailors". Now, however, this is no longer possible, so the girls are desirous of sending the money they collect to either the Polish Red Cross or the Polish Children's Fund.

I am, therefore, enclosing a money order for £2 as a subscription to the Polish Children's Fund.

Yours sincerely,

E. Marsh, Headmistress

* * *

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W podzięce za przesłane mi uprzejmie przez Redakcję "Polski Walczącej" zdjęcie, załączam P.O. na sumę sh.10 z przeznaczeniem na "Polish Children's Rescue Fund".

Pozostaję z szacunkiem

M. Florkowski

* * *

Editor of "Fighting Poland",

Dear Sir,

I enclose herewith a Money Order for £2.11.0 /Two pounds, eleven shillings/ collected by the Women's Timber Corps and their guests at Bamff Hotel after my talk on Poland given to them recently.

The above sum is intended as a contribution towards the "Polish Children's Relief Fund", and I should be very much obliged if you would kindly charge yourself with its transmission.

Yours sincerely,

/Mrs./ Irene Koval

Sumę £5.1.0 /słownie: pięć funtów, jeden szyl./ przesłaliśmy do "Polish Children Rescue Fund".

W roku bieżącym za pośrednictwem "Polski Walczącej" zebrano na ten cel £531.19.6 /słownie: pięćset trzydzieści jeden funtów, dziewiętnaście szylingów, 6d./.

Zbiórka książek

Szanowny Panie,

Nie znając adresów, uprzejmie proszę o przesłanie tej książki jakiemuś dziecku w Palestynie. /Załączone: M. Konopnicka: O Krasnoludkach i sierotce Marysi./

pchr. Ł.B.

W książce znajduje się następujący dopisek: "W podarunku za mego zmarłego brata."

Książkę tę /razem z innymi, które otrzymaliśmy dla dzieci na Wschodzie/ przesłaliśmy do Jamnagar.

Dla jeńców "paczki od serca": £3,055

W załączeniu przesyłam 7 przekazów pocztowych:

Nr. 376550	na	£	. 5.0
Nr. 376554	na	£	. 5.0
Nr. 148341	na	£	.10.0
Nr. 489360	na	£	.20.0
Nr. 489363	na	£	.20.0
Nr. 489364	na	£	.20.0
Nr. 489365	na	£	.20.0
Razem			£5. 0.0

z prośbą o przeznaczenie na "Paczki od serca".

Proszę przyjąć wyrazy poważania

Henryk Balcerzak

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam sumę £17.6.6 /słownie: 17 funtów, sześć szylingów, sześć pensów/ na pomoc jeńcom polskim w Niemczech. Suma ta została zebrana w miesiącu kwietniu 1944 przez uczniów i personel stały Dyonu Wyszkolenia Przedwstępnego A.C.T.C. w H. i F.

Adiutant Dyonu
W.H. Porucznik-pilot

* * *

Strz. Szuk. Witold na jeńców polskich w Niemczech składa £2 /słownie £ dwa/.

W ogłoszonym w nr. 18 "Polski Walczącej" zestawieniu zbiórki dokonanej przez Czołówkę Teatralną "Lwowska Fala" w czasie objazdu Polskich Dywizjonów lotniczych z programem "Piąty Front", wkradły się dwie pomyłki korektowe, które niniejszym prostujemy:

Poz. 4. Szkoła Pilotażu Podstawowego w H. £9.15.1

Poz. 17. Lotnicza Służba Kobiet w R. £9.12.1½

Suma zbiórki £217.6.5 została podana poprawnie i przekazana stostownie do intencji zbiórki "na paczki od serca".

Przy niniejszym załączam £1 dla uczczenia pamięci ś.p. Stanisława Skarżyńskiego, pułkownika-pilota, w dniu Jego imienin — dla lotników przebywających w niewoli niemieckiej.

Żona i syn

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam czek na sumę £135 na "paczki od serca" zebrane przez Członków Zrzeszenia Studentów Polaków w Wielkiej Brytanii, Oddział Edinburgh. Życzeniem ofiarodawców byłoby, aby paczki otrzymali w miarę możliwości Koledzy-studenci znajdujący się w niewoli.

Z poważaniem

/H. Podlewski/
Skarbnik

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Przesyłam kwotę £2.11.0 /słownie: dwa funty, jedenaście sh./ na "Paczki od serca" dla jeńców polskich.

Kwotę powyższą zebraliśmy za słuchanie radia.

Pluton Łączności . . . P.A.M.
Edward Majlich

* * *

Redaktor "Polski Walczącej",

Z okazji imienin Dyrektora Archiwum i Muzeum Sił Zbrojnych ppłk. dypl. Z.B. — oficerowie, urzędnicy, szeregowi i ochotniczki PSWK Archiwum i Muzeum Sił Zbrojnych przekazują na jeńców w Niemczech kwotę £8 /słownie ośm funtów szterlingów/.

Oficer Gospodarczy
W.B. por.

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę kolegi-dziennikarza śp. Tadeusza Kiełpińskiego składam sh.10 na paczkę od serca.

Por. Witold L.

Redakcja "Polski Walczącej", Londyn,

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £1 sh.7 jako wygraną w bridge'a w czasie świąt wielkanocnych przez żołnierzy 6. baterii z przeznaczeniem na paczki dla jeńców.

Dowódca . . . Dyonu
. . . Pułku Artylerii Mot.

* * *

Mieczysław P. na dwie "paczki od serca" według podanego adresu sh.18.6 /osiemnaście szyl. d.6/.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £173.13.0 /słownie: sto siedemdziesiąt trzy funty, trzynaście szylingów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,055.13.5 /słownie: trzy tysiące pięćdziesiąt pięć funtów, trzynaście szylingów, 5d./ 50 milrejsów brazylijskich i 2 dolary amerykańskie.

Poszukiwani

76. **Lederman** Dawid sierż. — poszukiwany przez żonę Surę i dzieci: Isachar i Lea, zam. w Z.S.R.R. /3800/95/.

77. **Łosicki** Feliks por. — poszukiwany przez matkę Jadwigę i córkę Siedlikowska Helenę, zam. w Z.S.R.R. /380084/.

78. **Löwenthal** Emil podchor. — poszukiwany przez żonę Zelę i dzieci: Eugenie, Różę, Artura i Leona, zam. w Z.S.R.R. /3800/82/.

79. **Łowicki** /bez imienia/ by w Kozielsku, por. — poszukiwany przez żonę Łucję i dzieci: Marię i Jana, zam. w Z.S.R.R. /3800/104/.

80. **Lubecki** Antoni kapral — poszukiwany przez żonę Zofię i dzieci: Jerzego, Witolda i Elżbietę, zam. w Z.S.R.R. /3800/84/.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

W BARZE LONDYŃSKIM



—Panowie tu nie drugi front! Nie pchać się tak! . . .

OSTATNIA POCIECHA

Hitler: — Z dwojga złego, niech nie zostanie ani jeden dom w Berlinie!

—Dlaczego, wodzu?

—Nasi wrogowie nie będą mieli gdzie podpisywać — pokoju! . . .

OBIECANKA — CACANKA

—Mamusiu co to jest drugi front?

—Już ci powiedziałam Stasiu, że później tatuś ci wytłumaczy.

—A kiedy później? Czy wtedy jak będzie otwarty?

—Nie, jak podrośniesz — jeszcze masz czas na drugi front.

AUTENTYCZNE

Na dancingu w klubie "Białego Orła" tańczy jedna z Polek. Nagle woła z przerażeniem.

—O Boże, niechcący stanęłam na nogę jednemu żołnierzowi.

—Któremu?

—Temu bez nogi . . .

PRZED DRUGIM FRONTEM

W pewnym polskim urzędzie, koledzy biurowi kupują do spółki dzienniki angielskie. Kierownik biura przeważnie sam oddaje się lekturze, zatrzymując całą prasę. Nagle podenerwowany rzuca dziennikami:

—Nie wiem na co ci Anglicy jeszcze czekają?

—Chyba na to aż pan szef przeczyta wszystkie pisma . . .

W DRODZE NA FRONT ALTANTYCKI



—Panie Führer, dlaczego stoimy? Zabrakło panu pary?

—Mnie nie, tylko Führerowi . . .

KARNY ŻOŁNIERZ



Halt Hitler!

W LONDYNIE

—Wstawaj Dzidziusiu, jest alarm!

—W porządku, tylko nie denerwuj się! Ten zegarek zawsze się śpieszy o 10 minut! . . .

W AMGOCIE

—Panie majorze, błagam pana niech pan zostanie starostą w Myślenicach!

—Nigdy w życiu. Straszna mieścina!!

—Więc może w Pińczowie?

—Też mi nie odpowiada. Tam diabeł dobranoc powiedział

—Niech pan jednak przyjmie — dam panu 20 kuponów odzieżowych . . .

KŁOPOTY MATRYMONIALNE

Hitler zakochał się i chciał się ożenić z pewną Rumunką, jednakże nie podobało jej się to, że Hitler ma zapadnięte oczy i gładko leżące włosy. Zrozpaczony Hitler zwierzył się z kłopotu Goebbelsowi, na co ten powiedział:

—Pozwól mi napisać prawdę o Niemczech. Wtedy napewno oczy ci wyliżą na wierzch i włosy się zjeżą.

NA ŁONIE NATURY

Hitler, Mussolini i Goebbels jadą autem. Na drodze rozkraczył się osioł i nie przepuszcza samochodu. Na sygnały trąbki nie reaguje, na okrzyki i gesty Mussolinego także. Wtedy wysiada Goebbels, zbliża się do osła i szepce mu coś do ucha. O dziwo! Osioł zadziera ogon i cwałem ucieka gdzie pieprz rośnie.

—Coś ty mu powiedział? — pyta Hitler Goebbelsa.

—Zaproponowałem mu przystąpienie do paktu trzech — brzmiała odpowiedź.

/z prasy podziemnej/

W MINISTERSTWIE

—Pan na długo przybył do Londynu?

—Tak, na minimum dwie godziny . . .

WIOSNA W HYDE PARKU



—A ją pani mówię, że tu pęknie bomba . . .

"WAŁ ATLANTYCKI" . . .



DROBNE OGŁOSZENIA W PRASIE PODZIEMNEJ

Już dziś przyjmujemy zamówienia na skóry z "Volksdeutschów". Piękna pamiątka w każdym polskim domu. Za bezcen. Ceny loco Warszawa.

* * *

Zamienię gruzy w kamienicy w Warszawie na takież w Berlinie lub Hamburgu. Dopłata 100.000 zł. gotówką.

* * *

Który z pp. "Volksdeutschów" zamieni babkę Żydówkę na dziadka aryjczyka lat 82? Wiek babki obojętny. Śpieszne oferty pod "Zrozpaczona Bożena" składać w redakcji "Zadry".

Tekst i rysunki: TONY

Wystawa rzeźby papierowej
TADEUSZA LIPSKIEGO
otwarta do 27 maja b.r.
od 10-ej rano do 5-ej popoł.
/w soboty do 1-ej w poł./
61, St. James's Street, S.W.1.

SPIS RZECZY:



WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Staraniem Związku Dziennikarzy R.P. odbędzie się w Ognisku Polskim /45, Belgrave Square, S.W.1/ w czwartek dnia 18 maja b.r. o godz. 6-ej odczyt
IGNACEGO BALIŃSKIEGO
b. prezydenta m. Warszawy
p.t.
"O starych redakcjach warszawskich"
Wstęp wolny.

KOMUNIKAT MINISTERSTWA PRACY I OPIEKI SPOŁECZNEJ

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej wzywa wszystkich zwolnionych z szeregów W.P. po dniu 1 września 1939 z powodu zupełnej niezdolności do służby wojskowej /kat. "E"/, wobec których nie zostało wszczęte postępowanie o zaopatrzenie inwalidzkie, o podanie w jak najkrótszym czasie dokładnego adresu w celu umożliwienia Ministerstwu wszczęcia postępowania w sprawie zaopatrzenia inwalidzkiego.

Adresy należy przesyłać do Działu Opieki nad Zwolnionymi z Wojska Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej /19, Cavendish Square, London, W.1/.